

Warren Wendy

Białe gardenie

Kiedyś Eleanor kochała się skrycie w klasowym łobuzie Colvinie. Udzielała mu korepetycji, bezskutecznie licząc na choćby jedno czule słówko. Colvin, teraz bogaty biznesmen, wraca po dwunastu latach w rodzinne strony. Wie, ile zawdzięcza Eleanor i jest gotów spłacić stary dług. Gdyby przewidział, jak dziwną prośbę przyjdzie mu spełnić...

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- No już, już, Ralph! Przestań mnie całować! Jeszcze tylko tutaj. I co? Zadowolony?

Eleanor przemawiała pieszczotliwie, podczas gdy jej wprawne dłonie delikatnie przesuwały się po ciele Ralpha.

- No i jak, Ralph? Ulżyło ci?

Ralph podniósł ufne brązowe oczy, a z jego piersi wydobył się cichy pomruk. Eleanor uśmiechnęła się i zakończyła masaż.

- Na dzisiaj koniec, możesz wstać. - Pochyliła się i zaszeptała mu do ucha: - Ale jutro to powtórzemy, zuchu.

Poczekwała, aż Ralph rozprostuje kości i pomogła mu zejść ze stołu.

Sięgnęła po kartę i w rubryce na diagnozę wpisała „artretyzm”.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Jak Ralphowi podobał się masaż? - Jej asystentka, Chloe, z uśmiechem zerknęła na psa.

- Przepada za nim. - Buldog patrzył na Eleanor rozanielonym wzrokiem.

- Dziś czuje się znacznie lepiej. Jego pani upiera się, by podać mu kortyzon, ale może przekonam ją do masażu.

Chloe poprawiła spinkę przytrzymującą niesforne rude loki. Skinęła głową z aprobatą.

- Nadal chcesz spróbować akupunktury?

- Czy ja wiem? - Eleanor z wahaniem spojrzała na wpatzonego w nią z uwielbieniem psa. - Chociaż to mogłoby mu pomóc.

Buldog warknął cicho, jakby na potwierdzenie. Chloe wybuchnęła śmiechem.

- Idziemy, najdroższy. - Wzięła psa na smycz. - Na panią doktor czekają pacjenci.

Ralph niechętnie dał się pociągnąć do drzwi gabinetu.

- Jego pani zgłosi się koło czwartej. - Eleanor przebiegła wzrokiem kartę Ralpa. - Daj mi znać, jak się pojawi. Chciałabym zamienić z nią parę słów.

- Dobrze. - Chloe zatrzymała się na progu. - W gabinecie numer dwa czeka Sadie, bokserka. Na sterylizację.

- Dziękuję. - Zdziwiło ją, że Chloe nadal stoi w drzwiach.

- Sunia jest śliczna - odezwała się Chloe, zniżając głos. - Ale jej pan...

- Coś z nim nie tak? - zaniepokoiła się Eleanor.

- Sama zobaczysz. Niesamowity! Wysoki, męski. Ideał faceta. Na pewno nie stąd, inaczej już dawno bym go namierzyła. - Przewróciła oczami. - Po prostu marzenie! Wyswatać takiego faceta to czysta przyjemność.

Eleanor poczuła ucisk w żołądku. Znowu ta sama śpiewka. A niech to...

- Skąd wiesz, że nie jest zajęty? - przypuściła atak, by zawczasu ukrócić zakusy Chloe. - Może ma żonę i czworo dzieci?

- Wykluczone.

- Może być zaręczony.

- Akurat! - zaśmiała się Chloe. - Jego feromony aż

krzyczą. - Wycelowała palcem w szefową. - Gdybym była wolna, to wiesz, co bym zrobiła? Od razu...

- Wiem - weszła jej w słowo Eleanor. Otrząsnęła dłonie nad umywalką.

- Wiem aż za dobrze. - Szarpnęła papierowy ręcznik. Wzięła stetoskop i powiesiła go na szyi.

- Na szczęście nie jesteś wolna i nie jesteś mną.

Chloe zrobiła urażoną minę, lecz jej pracodawczyni wcale się tym nie przejęła. Zebrała z biurka karty pacjentów.

- Idź na lunch, już prawie południe. Zamów sobie coś pożywne, najlepiej zupę. I zażyj jakieś tabletki uspokajające.

Chloe ujęła się pod boki.

- W porządku, możesz się ze mnie nabijać, mnie to nie rusza, wiem swoje. Pracuję tu prawie półtora roku i widzę, że przez ten czas ani razu nigdzie nie wyszłaś.

By ukryć zmieszanie, Eleanor zaczęła bawić się okularami. Potem zrobiła srogą minę.

- Chloe, jesteśmy w pracy, jest środek dnia. Co to ma...

- Chciałam poznać cię z moim kuzynem. Dzwonił cztery razy, nagrywał się na sekretarkę. Nawet nie oddzwoniłaś.

- No tak - przyznała ze skruchą. - Ale byłam okropnie zajęta. Zaraz, co to się wtedy stało? - Pstryknęła palcami.

- Już wiem, pies pani Smalley połknął kompas, pamiętasz?

Chloe popatrzyła na nią zwięzonymi oczami.

- Czy w ciągu ostatniego roku choć raz byłaś na randce?

- Chloe, to lecznica weterynaryjna, a nie kawiarnia - odpowiedziała stanowczym tonem. - Nasi klienci oczekują profesjonalnego podejścia i maksymalnej koncentracji na ich problemach. Nie spotka ich tutaj zawód. - Otworzyła drzwi. - Spieszę się do pacjenta.

Po wyjściu Chloe Eleanor odetchnęła głęboko.

Boże, o co tu chodzi? Ostatnio zdarza się to coraz częściej. Co i raz różni ludzie niedwuznacznie napomykają o wolnych facetach. Już nie tylko rodzice i Chloe, ale nawet starsza pani Pierce, która prowadzi pralnię. Czyżby wszyscy uważali, że dwudziestoosmioletnia kobieta już dawno powinna mieć męża?

Upewniła się, czy w kieszeni fartucha ma psie przysmaki, założyła okulary i ruszyła do gabinetu. Już przed wejściem odgarnęła za uszy niesforne włosy. Musi się wziąć w garść. Co z tego, że jest sama? Kocha swoją pracę, jest dobrym i cenionym lekarzem. Świadomość, że niesie ulgę zwierzętom i ich opiekunom, wynagradza jej brak życia osobistego. Uśmiechnęła się i weszła do gabinetu, gotowa serdecznie powitać nowego pacjenta i jego pana.

- Dzień dobry, mam nadzieję, że nie kazałam zbyt długo na siebie czekać. Jestem doktor Lippert i...

Głos zamarł jej w gardle, rozszerzyła oczy. Chloe nie blagowała, opisując przybysza.

Kruczoczarne, lśniące i lekko falujące włosy, twarz amanta filmowego. Czarne brwi podkreślające głęboki błękit oczu i ten błakający się w kącikach ust uśmiech... Poczuła gęsią skórę na ramionach.

Z wrażenia brakło jej słów. Zerknęła w kartę, nakazując sobie zachowanie spokoju. Z miernym skutkiem.

- Nie bój się, Sadie... wszystko będzie dobrze. Odłożyła papiery na biurko, otarła o fartuch zwilgotniałe dłonie. Długopis, który wyjęła z kieszeni, upadł na podłogę. Podnosząc go, niechcący uderzyła głową w róg blatu.

- Nic się nie stało?

W głębokim, męskim głosie zabrzmiał niepokój.

- Nie, nie! Nic mi nie jest. - Uśmiechając się z przymusem, podeszła do psiaka.

Nie patrząc na mężczyznę, przytknęła stetoskop do piersi suczki. Przez długą chwilę nie słyszała nic poza dzikim łomotem własnego serca. Była poruszona jak nigdy. I nawet nie urodą tego mężczyzny czy własnym zakłopotaniem. To było coś innego, trudnego do nazwania. Mężczyznę otaczała jakaś tajemnicza, a zarazem niepokojąco znajoma aura.

Niemal krzyknęła, gdy nieoczekiwanie dotknął jej ramienia.

- Tak? - szepnęła.

- Słysząc coś niepokojącego? Eleanor przełknęła ślinę.

- Nie. Na razie nic takiego.

Podniósł ręce. Szarpnęła się mimowolnie. Dopiero po sekundzie zdała sobie sprawę, że słuchawki nadal dyndają jej na szyi. Mężczyzna włożył je jej do uszu.

- Teraz lepiej? - zapytał, unosząc brew.

Policzki jej płonęły. Nieznajomy uśmiechnął się jeszcze szerzej, co ją rozzłościło. Była wściekła na siebie, na Chloe, na niego. Zaciśnęła usta i zabrała się za badanie. Osłuchiwała Sadie, obejrzała oczy i uszy, sprawdziła sierść. Zanotowała spostrzeżenia.

- Ogólnie jej stan jest bardzo dobry. Ma małą niedowagę. Czym ją pan karmi?

- Hamburgery i frytki. Bez keczupu. Długopis znieruchomiał nad kartą.

- Czy pan żartuje?

- Dlaczego? Sądzi pani, że ona lubi keczup? Podniosła wzrok.

Mężczyzna puścił do niej oko. Błękitne
oczy błysnęły, usta wygięły się w uśmiechu.

- Przecież znasz moje zdanie na temat keczupu, Psorko.

- Przepraszam, ale... Psorko.

Nieoczekiwanie ogarnęło ją dziwne uczucie. Jakby czas się cofnął.
Zawirowało jej w głowie.

Psorko? Tylko jedna osoba tak się do niej zwracała. Tylko jedna jedyna
osoba...

Popatrzyła na niego rozszerzonymi oczami, opuściła wzrok i znowu go
podniosła. To niemożliwe, po prostu niemożliwe.

- Colvin?

Ręka, którą pieśczośliwie gładził szczeniaka, nagle zamarła.

- Od dwunastu lat nikt mnie tak nie nazywał, Eleanor Gertrudę.

Serce waliło jej jak oszalałe. To on... Colvin, a raczej Cole. Cole
Sullivan. Nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- Kiedy przyjechałeś?

- Parę dni temu. - Uśmiechnął się szelmowsko. - Tęskniłaś za mną?

Wpatrywała się w niego, niezdolna odpowiedzieć. Czy za nim tęskniła?
Nie widziała go od ponad dwunastu lat. Jeśli po maturze nadal mieszkał
w Oakdale, nic o tym nie wiedziała. Nie miała od niego żadnych wieści.
Właściwie niby czemu miałyby być inaczej? Ich drogi rozeszły się dość
gwałtownie. Choć powinna go poznać po tej niewielkiej bliźnie na
policzku.

Pochwycił jej spojrzenie. Dotknął palcami blizny.

- Jeszcze mnie boli - rzekł.

- Zasłużyłeś sobie na nią - wypaliła bez zastanowienia. Cole odchylił głowę i zaniósł się serdecznym śmiechem.

- Masz rację, Psorko.

Nie chciała zastanawiać się nad uczuciami, jakie nagle ją przepęłniły. Szybko sięgnęła po kartę.

- No więc, przyprowadziłeś Sadie, by ją wysterylizować. Przechodziła jakieś szczepienia?

Cole skrzyżował ramiona, oparł się o stół. To nagle przejście do spraw zawodowych chyba go zaskoczyło. Przyglądał się Eleanor, jakby nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Znalazłem ją na autostradzie - odezwał się w końcu, nie odrywając oczu od Eleanor. - Jechałem z Los Angeles. Nie miała obroży, błąkała się po szosie.

Przesunęła palcami po świeżych bliznach na lewym boku psiaka.

- Pewnie ktoś ją wyrzucił - szepnęła.

- A przedtem źle traktował. - W jego głosie zabrzmiała ostra nuta.

Pogłaskał Sadie po grzbiecie. - Znalazłem twój numer w książce. -

Uniósł brew. - Eleanor Lippert, lekarz weterynarii. Masz własną praktykę?

- Tak.

- Nieźle - rzekł z aprobatą. Ucieszyła ją ta pochwała.

- Zabieg mogę przeprowadzić po południu. - Zmusiła się, by powrócić do spraw zawodowych. - Dostanie znieczulenie. Czy dzisiaj coś jadła?

- Nie, ostatnio wczoraj wieczorem. Zgodnie z instrukcją. Dzwoniłem tu już wczoraj.

Eleanor skinęła głową, zapisała coś w karcie. Los Angeles... Czy to znaczy, że on tam mieszka?

- Będzie ją bolało?

- Nie. - Uśmiechnęła się, widząc, że odetchnął z ulgą. - To bezpieczny zabieg. Oczywiście bardziej skomplikowany niż w przypadku samców, ale...

Oczy Cole'a zrobiły się wielkie jak spodki. Jej uśmiech zgasł.

- Chciałam jedynie powiedzieć, że kastracja jest bardzo prosta. To rutynowy zabieg.

Cole mrugnął.

Poczuła, że oblewa się rumieńcem. Uniosła głowę, zmusiła się do zachowania spokoju.

- Zatrzymamy Sadie przez noc...

- Tak postępujecie również w przypadku bezproblemowo kastrowanych samców?

Głośno zamknęła kartę Sadie.

- Samców nie trzeba zatrzymywać na noc - powiedziała bardzo rzeczowym tonem.

- Hmm, nigdy nie byłem taki dobry z biologii jak ty, ale według mnie wszystko zależy od samca, Psorko. Wszystko zależy od samca.

- Będziesz mógł odebrać ją jutro.

- Do której jest czynne?

- Do szóstej. Jeśli nie dasz rady zabrać jej wcześniej, może zostać do zaniknięcia lecznicy. Zatrzymamy się o nią.

- Wyszłaś za męża, Eleanor?

- Czy ja... Nie.

- Mieszkaś z kimś?

Dopiero za trzecim razem udało się jej trafić długopisem do kieszeni. Z wystudiowaną nonszalancją uniosła brwi.

- Dlaczego pytasz?

- Żeby wiedzieć. Po prostu. Czy komuś nie będzie przykro, jeśli urządzimy sobie kolacyjkę i pogadamy o dawnych czasach.

Powoli pokręciła głową.

- To dobrze. W takim razie jutro wieczorem zabieram ciebie i Sadie.

- Ale ja...

- Sadie, bądź grzeczna dla pani doktor. - Pochylił się i delikatnie poklepał psiaka.

Minął Eleanor i sięgnął do klamki. Odwrócił się.

- Wiem, że masz mnóstwo pracy, ale postaraj się zdążyć. - Popatrzył na nią przeciągle. - Może i jestem „prosty i bezproblemowy”, ale gdy doskwiera mi głód, lepiej mnie nie drażnić.

ROZDZIAŁ DRUGI

Od dwunastu lat jeździła samochodem i nigdy nie dostała mandatu, a teraz w drodze do domu przejechała znak stopu.

Ledwie przestąpiła próg, rzuciła kluczyki, płaszcz i torebkę, postawiła w kuchni wziętą na wynos chińszczyznę i, nie zwracając uwagi na łaszącego się kota, pobiegła do szafy w przedpokoju.

Rozsunęła drzwi, przegarnęła szaliki i czapki, niechętnie zrzucając je na podłogę. Wyciągnęła stojące w głębi pudło. Ostrożnie postawiła je na podłodze i pośpiesznie przejrzała zawartość. Wreszcie znalazła to, czego szukała.

Liceum w Oakdale, rok 1990. Wtedy robiła maturę.

Ciężki, oprawiony w grubą tekturę album pachniał starością.

Przeciagnęła palcem po zakurzonych złotych literach. Serce biło jej mocno. Otworzyła album, przebiegła wzrokiem kilka stron. Zatrzymała się przy zdjęciach.

Mała czarno-biała fotografia. Cole wyglądał na niej dokładnie tak, jakim go zapamiętała.

- Cole - szepnęła do siebie, rozkoszując się brzmieniem tego imienia.

Pokręciła głową. Nic dziwnego, że teraz go nie poznała.

Szczupły chłopak o pociągłej twarzy i ostrzyżonych po wojskowemu włosach. Oczy pełne blasku zdradzały rozpie-

rająca go młodzieńczą energię. Jakże się zmienił! Czarne falujące włosy, muskularne ciało. Z chłopca stał się mężczyzną.

W szkole właściwie nie miała z nim kontaktu. Byli w klasie maturalnej, kiedy poprosił, by pomogła mu w nauce. Pochodził z biednej rodziny. W dzień chodził do szkoły, nocami dorabiał w zakładzie konfekcjonującym mięso, w którym pracował jego ojciec. Bywały ranki, że padał ze zmęczenia i walczył z sennością. Przed końcem semestru zdał sobie sprawę, że może mieć problem z zaliczeniem przedmiotów ścisłych. Wtedy zwrócił się do Eleanor.

Dobrze pamiętała tamten dzień. Siedziała w szkolnej stołówce z grupką koleżanek. Dziewczyn, które, jak ona, bardzo przykładały się do nauki, zaniehbując życie towarzyskie.

- Muszę dostać stypendium do college'u - oznajmił prosto z mostu, choć nigdy wcześniej nie zamienili nawet słowa. Zresztą z innymi chłopcami też rzadko rozmawiała. Nie żeby jej nie lubiano, raczej... nie zauważano. Kanapka z tuńczykiem uwięzła jej w gardle. Eleanor zamruęła oczami. Jedna z koleżanek szturchnęła ją łokciem w bok. Dopiero wtedy zdołała wydobyć z siebie głos.

- Tak? - wydukała.

Cole stał z rękami wepchniętymi w kieszenie, rozpięta na piersi niebieska koszula rozchylała się, ukazując sprany podkoszulek.

- Muszę dostać stypendium - powtórzył. - Nie mam na to szans, jeśli nie poprawię stopni na świadectwie. - Patrzył na nią, a ona przez skórę czuła, jak siedzące obok koleżanki wstrzymują dech. - Nie mogę ci zapłacić, ale pan Howell

obiecał, że jeśli mi pomożesz, weźmie to pod uwagę przy wystawianiu ocen. To jak?

Nie mogła przełknąć kanapki. Złapała karton z mlekiem, upiła duży łyk. Niezręcznie odstawiła mleko na tacę.

- Dobrze. - Skinęła głową.

Ciche miauknięcie Gusa przywołało ją do rzeczywistości. Odłożyła album, wzięła kota na ręce i przytuliła.

- Jak myślisz, Gus - szepnęła do puchatego rudego zwierzaka. - Co on robił przez te wszystkie lata? - Gus zamruczał i potarł noskiem o policzek swej pani. Eleanor westchnęła.

Cole dał jej coś, czego nigdy nie miała - szansę, by zobaczyć samą siebie w innym świetle, uświadomić sobie swoją wartość.

Kiedyś podczas nauki odłożył długopis, oparł się na łokciu i popatrzył na Eleanor z podziwem. Wyjaśniała mu proces oddychania roślin.

- Psorko - mruknął. To on nadał jej to imię. W jego oczach widziała uznanie. - Skąd ty to wszystko wiesz?

Przytuliła policzek do rudego futerka, zamknęła oczy. Jak cudownie się wtedy czuła! Cole naprawdę ją podziwiał. Była w siódmym niebie.

- Póki sama wszystkiego nie popsułam.

Gus zamiauczał rozpaczliwie, dając do zrozumienia, że Eleanor za mocno go ściska.

- No już dobrze.

Razem z kotem poszła do kuchni. Postawiła go na podłodze i nałożyła mu do miseczki trochę karmy. Gus zaczął łapczywie jeść.

- Za dużo sobie wyobrażałam, Gus - szepnęła Eleanor. - Dałam się ponieść marzeniom.

Od tamtej rozmowy w bibliotece zaczęła zauważać rzeczy, których wcześniej nie dostrzegała. Każdy uśmiech Colvina, triumfującą minę po udanym zaliczeniu, puszczone do niej oko.

Zawsze rzeczowa i skoncentrowana na nauce, w krótkim czasie stała się sentymentalną romantyczką śniącą o miłości.

Na trzy tygodnie przed balem maturalnym, nieoczekiwanie dla samej siebie zatrzymała się przed sklepową wystawą, jakby przywiedziona tu magiczną siłą. Nie mogła oderwać oczu od strojnych balowych sukni z połyskującej tafty.

Nie wiedziała, jak to się stało, że weszła do środka i zostawiła zaliczkę na przepiękną suknię w kolorze zmrożonej limonki. Lśniaca tkanina, cieniutkie ramiączka, istne чудо!

- Do niej najlepsze będą gardenie - doradziła sprzedawczyni. - Powiedz swojemu chłopakowi, żeby kupił gardenie.

Swojemu chłopakowi!

- Tak! - Obrzuciła kobietę rozpromienionym spojrzeniem. - Tak zrobię!

W tamtym momencie zupełnie nie przejmowała się faktem, że Cole jeszcze jej nie zaprosił. Kilka razy dyskretnie napomknęła, że po ciężkiej pracy należy im się odrobina przyjemności. Te subtelne aluzje powinny być dla niego nad wyraz czytelne.

Cole nie reagował. Interesowały go tylko stopnie i końcowe egzaminy. Gdy od balu dzielił ich ledwie tydzień, zaczęła się niepokoić. Wreszcie zebrała się na odwagę.

- Myślałam o balu maturalnym - powiedziała cicho, nie odrywając oczu od leżącego przed nimi podręcznika.

Cole nadal wydawał się pochłonięty własnymi sprawami.

- Ja też - rzekł od niechcienia.

Przez moment nie poruszyła się. Nie mogła nawet myśleć.

- Myślałaś?

- Tak. - Założył ręce za głowę, odchylił się w tył. Przymrużył lekko oczy, uśmiechnął się. - Psorko, jakie kwiaty lubią dziewczyny?

- Jakie kwiaty?

Serce zatrzepotało jej w piersi. A więc ta chwila nadeszła! Może nie odbywa się to tak, jak sobie wymarzyła, lecz jednak!

- Gardenie - odparła. Wszystko w niej śpiewało. Już dziś wpłaci pozostałą część sumy za sukienkę.

- Gardenie? - zastanowił się Cole. - Hmm. One chyba są białe, co?

- Tak - odpowiedziała uszczęśliwiona. - Kwiaty mają białe płatki.

Uprawia się je w strefie międzyzwrotnikowej...

Ugryzła się w język. Nie pora na wykład z botaniki!

- Mają przepiękny zapach - dodała. Naraz coś ją tknęło.

- Jednak chyba są drogie. Mogą też być goździki.

- Nie ma problemu - Cole wzruszył ramionami. Podniósł ręce. - Ostatnio zaoszczędziłem trochę forsy. Objadałem się twoimi ciasteczkami i dzięki temu mogłem zrezygnować z obiadów.

Zarumieniła się. Trzy razy w tygodniu, gdy zostawali po lekcjach w szkolnej bibliotece, zabierała ze sobą ciastka. Nie dlatego, że je lubiła - po czekoladzie bolała ją głowa

- ale dla Cole'a. On za nimi przepadał. Wyprostowała się.

- Lubisz te ciasteczka.

- Jasne. No więc - zapatrzył się w sufit - mówisz, że gardenie? No dobrze, niech będą gardenie.

Opuścił ręce, pochylił się nad stołem.

- Miejmy nadzieję, że się nie mylisz, Psorko. Bo Sue Ann Corning wygląda mi na dziewczynę, do której raczej pasują żywe kolory.

Uśmiech zamarł jej na ustach.

- Sue Ann Corning? - wyszeptała z niedowierzaniem. Cole skinął głową.

- Wczoraj ją zaprosiłem. - Popatrzył na Eleanor, uśmiechnął się. - Od razu się zgodziła.

Poczuła, że się dusi.

Sue Ann Corning? Dziewczyna, która nie ma pojęcia o historii? Która oblała algebrę, bo zapomniała, kiedy jest zaliczenie?

- Idziesz na bal z Sue Ann Corning - powiedziała z niedowierzaniem.

- Nie tak dawno sama mówiłaś, że należy się nam trochę przyjemności. Zapomniałaś? - uśmiechnął się szeroko.

Wystarczyło mgnienie, by jej marzenia legły w gruzach. Cole podziwiał jej wiedzę i cenił jej towarzystwo, ale na randki zapraszał inne, bardziej rozrywkowe dziewczyny. O niej nawet nie pomyślał.

Następnym razem, gdy będzie chciał zdobyć stypendium, niech zwróci się po pomoc do Sue Ann! Niech ona wyjaśnia mu zawilności genetyki!

Przymknęła oczy, by ukryć piekące łzy. Myśli krążyły jak oszalałe.

Chwyliła książkę i rzuciła nią w Cole'a. Zdążył ją pochwycić, podręcznik tylko lekko uderzył go w policzek.

- Przepraszam, wyślizgnęła mi się. Celowałam w twoją czachę!

Pośpiesznie zebrała rzeczy i popędziła do wyjścia. Okulary zaparowały od łez. Odwróciła się i popatrzyła na Cole'a po raz ostatni.

- I nie mów do mnie „Psorko”!

W powietrzu dźwięczały jej gniewne słowa, gdy pędem wybiegała z biblioteki.

Oparła łokcie na kuchennym blacie, zanurzyła twarz w dłoniach.

- Jak mogłam tak zareagować! - Nieznacznie uniosła głowę, popatrzyła na kota. - Chyba trudno ci w to uwierzyć, Gus, ale zachowałam się jak dzikuska.

Możliwe, że Gus nie wyczuł ironii zawartej w tym stwierdzeniu, lecz ona powinna stawić czoło prawdzie. Minęło dwanaście lat, a w obecności przystojnych facetów nadal czuła się jak na rozżarzonych węglach. Z westchnieniem sięgnęła po pudełko z knajpki pana Yee, wyjęła sajgonkę i z ponurą miną umoczyła ją w pojemniczku z ostrym sosem.

Po tamtej rozmowie między nią a Cole'em już nigdy nie było tak jak dawniej. Zmusiła się, by wybić go sobie z głowy, by to doświadczenie potraktować jako życiową nauzkę. Zresztą rzeczywiście wyciągnęła prawidłowe wnioski. Przekonała się, że nie można mylić fantazji z rzeczywistością. A szacunku i uznania z gorącym uczuciem.

Gdyby jednak rzeczywiście była mądra, jutrzejszy wieczór spędziłaby w domu. Po drodze może wpaść do księgarni i kupić sobie poradnik dla zagubionych kobiet. Potem zjeść resztki dzisiejszej kolacji i położyć się do łóżka.

- Tak właśnie powinnam zrobić.

Z całej siły zacisnęła powieki.

Tylko że ma zupełnie inne plany.

Dziś w lecznicy zachowała się jak skończona idiotka, bąkała coś bez sensu, ciągle wszystko leciało jej z rąk.

- On pewnie myśli, że nadal jestem w nim zadurzona. Popatrzyła na Gusa. Kot zmierzył ją krytycznym spojrzeniem.

- Nie patrz tak. Po prostu chcę to raz na zawsze zakończyć i zapomnieć o całej sprawie.

Pochyliła się i wzięła kota na rękę.

- Z twojego punktu widzenia, to może nie jest takie oczywiste, jednak nadchodzi moment, w którym człowiek powinien zdecydować, czy przejdzie przez życie, gładząc jak kurczak, czy rycząc jak lew.

Gus miauknął. Jak kot.

- Bardzo zabawne.

Ona woli ryknąć. Jak kobieta.

Nazajutrz, wraz ze zbliżaniem się szóstej, Eleanor coraz bardziej upadała na duchu. Za pół godziny przyjedzie Cole, by zabrać ją na kolację. Na samą myśl robiło się jej słabo. Nie da rady, to ją przerasta.

Pięć po szóstej zdecydowała, że jednak nie pójdzie.

Pośpieszny obchód boksów dla pacjentów zajął jej dziesięć minut.

Szybko zebrała manatki i weszła do recepcji.

- Chloe, już wychodzę - z udaną obojętnością poinformowała asystentkę.

- Pan Sullivan powinien zjawić się za... - zupełnie bez potrzeby popatrzyła na zegarek - ..za piętnaście minut. Przyrowadź Sadie i poinformuj go o zaleceniach. - Szukała w torebce kluczyków, by uniknąć przenikliwego wzroku Chloe. Nigdy się nią nie wyręczała, to nie było w jej stylu. - Sadie ma się dobrze, powinna dziś

odpoczywać i tak dalej. Sama wiesz, co mówić. No to do jutra.

Posłała Chloe nieco wymuszony uśmiech i ruszyła do wyjścia.

- Ach, i jeszcze jedno - dorzuciła, jakby w ostatniej chwili coś sobie przypomniała. - Przekaż panu Sullivanowi, że bardzo mi przykro, ale coś mi wypadło. Dzięki. I do jutra.

- Zaczekaj! - Chloe wybiegła zza biurka i zablokowała przejście. - Co ty powiedziałaś? Umówiłaś się na dziś z tym przystojniaczkiem?

- W pewnym sensie, jednak... Chloe z wrażenia otworzyła usta.

- Chyba mi nie powiesz, że nie pójdziesz!

- Chloe... - Daremnie szukała przekonujących argumentów. - Nie mam teraz czasu na tłumaczenie. - Zerknęła na zegarek. Zostało dziesięć minut. - Proszę, powiedz panu Sullivanowi, że coś mi wypadło.

Chloe zamknęła oczy i potrząsnęła głową.

- Chyba czegoś nie rozumiem. Pojawia się mężczyzna jak ze snu, a tobie... - zawiesiła głos - ...coś wypadło? Nie. - Zacisnęła pomalowane usta, znów pokręciła głową. - Coś mi tu nie pasuje.

Eleanor zmusiła się, by zachować spokój, choć najchętniej natychmiast wybiegłaby, ile sił w nogach.

- Mam inne plany. Wczoraj o nich zapomniałam.

- Dziś jest środa - nie ustępowała Chloe. - U pana Yee w środy jest chiński omlet. Raz możesz go sobie darować, prawda?

Poczuła, że robi się jej gorąco. Tak to jest, gdy człowiek spoufali się z podwładnymi.

- Mam inne plany na dzisiejszy wieczór.

Chloe patrzyła na nią z jawnym powątpiewaniem.

- Więc je odwołaj.

- To niemożliwe. Idę. Przekaż moją wiadomość, proszę.

- Ale...

- Dobranoc, Chloe. Do jutra.

Nie czekając na odpowiedź, wyszła i wsiadła do samochodu.

Czterdzieści minut później dotarła do domu. Cisnęła na blat pojemnik z jedzeniem. Gus wyrósł jak spod ziemi, podszedł do pudełka i obwąchał je z entuzjazmem. Po czym prychnął i syknął z niesmakiem.

- Bakłażan po syczuańsku - poinformowała go Eleanor, nie siląc się na uprzejmość. - Odmiana dobrze ci zrobi.

Z każdą chwilą jej nastrój się pogarszał. Pan Yee powitał ją jak zwykle, z szerokim uśmiechem wykrzykując nazwę firmowego dania.

Nigdy jej to nie przeszkadzało. Aż do dziś. Codzienna rutyna wydała się jej czymś odpychającym. Po raz pierwszy. Ma dwadzieścia osiem lat, własny segment, satysfakcjonującą pracę. Kartę obiadową u Yee i kota, który z apetytem wcina sajgonki. Czego jej jeszcze potrzeba do szczęścia? Nawet coraz częstsze aluzje rodziców i Chloe na temat jej spraw osobistych nie doskwierały jej - aż do wczoraj. Nieoczekiwane pojawienie się Cole'a wytrąciło ją z ustalonego rytmu, zaburzyło jej spokój.

- Cieszę się, że jednak się z nim nie zobaczyłam -z przekonaniem powiedziała Gusowi. - Zobaczysz, urządzimy sobie wspaniały wieczór. Nie może ciągle być tak samo, rutyna nas zniszczy. Trzeba się z tego wyrwać. I nie musimy

nikomu nic udowadniać. Po kolacji obejrzymy jakiś horror. To już będzie spora odmiana. Widzisz, zaczyna się nieźle.

Przemawiając do siebie i Gusa, rozpakowała kolację. Powąchała potrawę i oczy natychmiast zaszczyły jej łzami.

Pan Yee przekonywał, że danie będzie dla niej za ostre, lecz Eleanor uparła się, że spróbuje. Zniosła talerz do salonu. Już miała usiąść, gdy ktoś zadzwonił do drzwi.

To pewnie pani Grilley, sąsiadka. Miała osiemdziesiąt trzy lata i spaniela cierpiącego na schorzenie uszu, którego Eleanor obiecała po raz kolejny zbadać. Choć tak naprawdę pani Grilley po prostu potrzebowała towarzystwa.

Z przepaszającym uśmiechem Eleanor otworzyła drzwi.

- Pewnie wyszłam na kogoś okropnie roztargnionego...

- To też mi przyszło do głowy. Zaskoczona, zastygła w bezruchu.

Na progu stał Cole Sullivan. W jasnej marynarce, beżowej koszuli.

Jeszcze nigdy nie wyglądał tak wspaniale.

A ona jeszcze nigdy nie czuła się tak niezręcznie.

- Co ty tu robisz?

Cole popatrzył na nią z ironią.

- To raczej ja powinienem zadać to pytanie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Zerknął na zegarek, uniósł brwi.

- Umawialiśmy się na wpół do szóstej.

Oparł się wygodnie o framugę, skrzyżował ramiona.

- Od lat nikt mnie tak nie wystawił.

- Prosiłam Chloe, by ci przekazała...

- Nie wiedziałaś, że gdy ta twoja Chloe kłamie, wyskakują jej na skórze czerwone plamy?

Wyciągnął rękę i dotknął palcami jej szyi. Eleanor stała jak sparaliżowana.

- O, tutaj - rzekł, cofając dłoń. - To ją od razu demaskuje. Pechowo...

Przemawiał z uprzejmą ironią, lecz jego niebieskie oczy pociemniały groźnie.

Poczuła suchość w gardle.

- Chloe miała przeprosić cię w moim imieniu. Zapomniałam, że już mam zajęty wieczór. - Dochodzący z pokoju zapach bakłażana dobitnie świadczył na jej niekorzyść. - To znaczy miałam - dodała, chcąc ratować twarz. - Teraz już nie.

Patrzyła na niego zakłopotana. Od dawna nie posunęła się do kłamstwa.

Ostatni raz, gdy była w trzeciej klasie i zbiła ulubiony talerz ojca.

Zrzuciła wtedy winę na psa.

- Moje plany spaliły na panewce - powiedziała zmieszana i zamrugła nerwowo.

- Twoje też? - Zerknął do środka mieszkania. - W takim razie chyba mogę wejść?

Wyprostował się i wszedł, nie czekając na zachętę z jej strony. Po kilku krokach zatrzymał się i obrzucił wnętrzem ciekawym spojrzeniem.

Kiedy jego wzrok padł na stojący na stoliku talerz z jedzeniem, Eleanor oblała się rumieńcem.

Cole odwrócił się, popatrzył na stropioną dziewczynę. Czerwona aż po nasadę włosów, bezwiednie bawiła się perłowym guzikiem przy sweterku. Jej zakłopotanie sprawiło mu satysfakcję. Wiedział, że to nieładnie z jego strony, lecz nie lubił być nabijany w butelkę.

W dodatku przez Eleanor. Zwłaszcza przez Eleanor.

W ciągu tych dwunastu lat w Oakdale bardzo wiele się zmieniło.

Otoczenie Quinn Park, nowe sklepy wzdłuż California Street. Jednak generalnie miasteczko pozostało takie, jakim je pamiętał. I mimowolnie pragnął, by Eleanor również pozostała taka, jaką była przed laty.

Przyjechał tu w interesach. Nie dlatego, że nagle zatęsknił lub zapragnął wspomnienia. Nigdy nie był sentymentalny.

- Przeszkodziłem ci w jedzeniu - rzekł nieco opryskliwie i zmarszczył brwi.

- Skąd wiedziałeś, jak do mnie trafić?

Starął się zachować kamienną twarz, choć był coraz bardziej zły na siebie. Nie zapraszała go, nie dała mu nawet telefonu - a on wdarł się tu nieproszony. Powinien czym prędzej się wycofać. Jednak nie zrobił tego. Uśmiechnął się

szeroko. I bez mrugnięcia okiem wszedł w rolę uroczego czarusa.

- Wyciągnąłem twój adres od Chloe. Nie było to proste - dorzucił. Urwał na chwilę. - Widzę dwa rozwiązania. Przepraszę cię za najście i zaraz zniknę...

Eleanor poruszyła głową i zadała pytanie, na jakie on z całą pewnością czekał:

- A to drugie rozwiązanie? Odprężył się, odetchnął lżej.

- Zawsze lubiłaś mieć wybór, Psorko. To drugie rozwiązanie wymaga twojego udziału. Oczywiście najpierw cię przeproszę, a potem ty zlitujesz się nade mną i rozdzielisz swoją porcję na dwa talerze.

- A gdzie jest Sadie?

- Sadie? Po drodze odstawiłem ją do domu.

- Ach tak. - Potarła okulary. - Nie powinieneś jej teraz zostawiać samej. Cole uśmiechnął się.

- Mam gospodynię, na stałe - wyjaśnił Cole. - Jasmine uwielbia psy. Zatrąszy się o Sadie.

Jasmine? Gospodyni? Zamrugła gwałtownie. Cole rzeczywiście bardzo się zmienił, nie tylko pod względem cech zewnętrznych.

Gdy chodzili do szkoły, mieszkał w nędznej dzielnicy, w której większość domów należała do zakładu przetwórstwa mięsa. Dzieciaki szeptem opowiadały sobie mrożące krew w żyłach historie związane z tym rejonem. Podobno na ulicy Rzeźniczej w nocy słyhać było ryczenie szlachto-wanego bydła. Inne opowieści były jeszcze bardziej ponure.

Mimo to w szkole rówieśnicy nigdy nie dokuczali Co-

le'owi. Nie zwracano uwagi na to, że nosi sprane ubrania i często jest nieprzytomny ze zmęczenia po nocy przepracowanej w fabryce. Jak bardzo od tamtej pory się zmienił! Wystarczył rzut oka, by stwierdzić, że daleko zaszedł.

Obrzuciła wzrokiem jego potężną sylwetkę, doskonale leżącą marynarkę i spodnie. Na pewno szyte na zamówienie.

Ktoś taki spokojnie może zatrudniać gospodynię. Piękność o imieniu Jasmine. Przyjemnie popatrzeć, jak taka krząta się po kuchni.

- Nie denerwuj się - mruknął Cole. - Skoro tak się przejmujesz, pojedę i zobaczę, jak się miewa.

- Pojedziesz? - Skrzywiła się mimowolnie. - Czy Jasmine nie lubi być sama?

- Jasmine? - zdumiał się. - Mówiłem o Sadie. I to ty się przejmujesz, nie ja.

Eleanor uśmiechnęła się. Sadie, no tak! Pokręciła głową. Coś z nią niedobrze. Znów zrobiła z siebie idiotkę.

- Najbardziej odpowiedzialna dziewczyna w Oakdale -podsumował Cole, opacznie rozumiejąc jej zmieszanie. -Niektóre rzeczy się nie zmieniają - dodał ciszej. Przy uśmiechu robiły mu się drobniutkie zmarszczki wokół oczu.

Spochmurniała. Zupełnie jakby mówił o ich szkolnej bibliotekarce, pani Crumrine.

- Wcale nie - zaprotestowała słabo.

Cole uniósł brew. Nie skomentował, lecz jego uśmiech mówił sam za siebie.

Wezbrała w niej złość. Czy on sądzi, że jest taka przewidywalna, że się nie zmieniała?

- Może pod względem zawodowym - rzekła, unosząc

brodę. - Ale jeśli chodzi o sprawy osobiste, to jest całkiem inaczej.
Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Niesamowite.

- No właśnie - potwierdziła. - Niestety, zwykle działam zbyt impulsywnie.

- To ciekawe. - Oparł dłonie na biodrach, pochylił się lekko. - Opowiedz mi. Co takiego okropnie nieodpowiedzialnego masz na sumieniu ? - dodał miękko, prowokująco.

Gdyby tak mogła powiedzieć mu teraz coś takiego, że poszłoby mu w pięty!

- No więc...

Cole patrzył na nią wyczekująco.

Jedyne, co przychodziło jej do głowy, to zawstydzające wyznanie, jak kiedyś wyrwała z miesięcznika w bibliotece artykuł o chorobie szalonych krów. Ale już po tygodniu wróciła z pieniędzmi, by bibliotekarka mogła odkupić uszkodzony egzemplarz.

- Nie każ mi dłużej czekać - naciskał Cole. - Może powinienem doprowadzić cię do aresztu?

- Nieważne! - Widząc, że Cole nadal się śmieje, z rezygnacją machnęła ręką. - No już dobrze, wejdz.

Udając, że nie zauważa jego rozbawionej miny, poszła do kuchni. Cole usiadł w salonie. Wyjmując talerz, zerknęła spod oka. Przyglądał się jej. Pośpiesznie pochyliła głowę, wyjęła sztucce.

Nieoczekiwanie ujrzała siebie w długim szeregu kobiet, które podawały mu jedzenie. Ile ich było?

- Nie obrazisz się, jeśli zdejmę marynarkę i krawat? Przez cały dzień siedziałem na naradach.

Przyzwoliła skinieniem głowy.

Nie mogła przestać mu się przyglądać.

Szerokie bary, muskularne mięśnie rysujące się pod koszulą. Całkiem inny niż tamten szczupły nastolatek. Cole ściągnął krawat, rozpiął kołnierzyk. W wycięciu koszuli dostrzegła ciemne włoski kontrastujące z opaloną skórą.

Cole powoli ruszył do kuchni.

- No to powiedz mi, czym się zajmujesz - poprosiła. - Mówiłeś, że przez cały dzień siedziałeś na naradach - przypomniała.

- Owszem - skinął głową. - Ale nie mam teraz ochoty rozmawiać o pracy. Nie widzieliśmy się dwanaście lat, Psor-ko. Mamy tyle do obgadania. - Uśmiechnął się przyjaźnie.

Zrobiło się jej gorąco.

- No to chyba możemy pogadać sobie o tym, co teraz robimy? - zapytała rzeczowo.

- Przyjechałem tu w interesach - odrzekł po chwili wahania. - To nic specjalnie ciekawego.

- A konkretnie?

- Nuda. Zajmuję się przejmowaniem firm. Jest z tym sporo zachodu, ale to nie jest zbyt interesujące.

- Masz tu coś na oku? - zapytała. W miasteczku było kilka niewielkich zakładów, lecz nie wyobrażała sobie, by mogły zainteresować kogoś z Los Angeles.

Cole znowu zastanawiał się przez moment.

- Prowadzę wstępne rozmowy. Jestem zainteresowany pewną firmą. Z wrażenia zabrakło jej powietrza.

- Czyli przez jakiś czas zostaniesz w Oakdale? - zapytała, mimowolnie podnosząc głos.

- Tak, ale niedługo. - Sięgnął po łyżkę, którą położyła na blacie. Patrzyła na jego dłoń. Kalifornijska opalenizna. Starannie utrzymane, wypielęgnowane paznokcie. Może chodzi do manikiurzystki? Jakże inny od chłopaka, jakiego pamiętała. Wcześniejszą surowość zastąpiła ogłada i wyrafinowanie, lecz nadal pozostał nieprawdopodobnie męski.

- Mogę w czymś pomóc? - zapytał, wskazując na półmiski. Zamrugła, próbując wziąć się w garść.

- Napój imbirowy - wybąkała. Musiała się czegoś napić. Natychmiast. - Jest w lodówce. A lód - pokazała ręką - w zamrażarce. Cole napełnił szklanki lodem, popatrzył na Eleanor.

- Jeszcze coś? Tak. Ty. Przeraziła się. Przez mgnienie nie była pewna, czy przypadkiem nie powiedziała tego na głos. Zakryła usta dłonią. Cole popatrzył na nią z rozbawieniem.

Nalewając napój do szklanek, wsłuchiwała się w odgłos pękającego lodu. Sama czuła się dokładnie tak samo. Muszę się opamiętać, przykazała sobie surowo. Inaczej już po mnie.

Nigdy nie potrafiła panować nad emocjami. Ani nad językiem. Zwłaszcza gdy chodziło o Cole'a. Wtedy, gdy wybiegła z biblioteki i rozpaczliwie próbowała powstrzymać łzy, przyrzekła sobie, że się zmieni, że zacznie żyć pełnią życia.

- Uważaj, zaraz się przeleje! W ostatniej chwili złapał za butelkę.

- Nic ci nie jest, Psorko? - W jego głosie zabrzmiał szczery niepokój. Poczowała się wniebowzięta... i zła.

Psorko! Jedyne przezwisko, jakie kiedykolwiek miała. Lubiła je. Aż do tamtego dnia.

Z ponurą miną wbiła łyżkę w ryż.

- Chodźmy jeść.

Już mieli iść do salonu, gdy Cole spostrzegł leżącą na krześle przy barku gazetę. „Oakdale Sentinel”. Sięgnął po nią z zaciekawieniem.

- Nasza poczciwa gazeta! - Uśmiechnął się. - Ciekawe, co dzisiaj uznali za najważniejsze wydarzenie? Może burmistrz wyhodował olbrzymią cukinię?

- Nie wiem, jeszcze nie czytałam.

- Mogę zerknąć?

- Proszę. Chyba powinnam trochę podgrzać jedzenie. Cole przysiadł przy barku, rozłożył gazetę.

- W Quinn Park otwierają tor snowboardowy. Rada miejska zgodziła się na przedłużenie parady w dniu Święta Pracy. Nasze miasteczko nadal ma ambicje.

Eleanor wstawiła półmisek do mikrofalówki.

- Po Los Angeles Oakdale wydaje ci się zapyziałą dziurą, mam rację?

- Tak mi się wydawało, nawet gdy tu mieszkałem. O, tu mamy coś świeżego - przeczytał. - Zakonnica w wieku osiemdziesięciu dziewięciu lat odeszła z tego świata.

Eleanor odwróciła się od kuchenki.

- Co takiego?

- „W niedzielę wieczorem siostra Marguerite Bertrice zmarła w domu swej siostrzenicy” - przeczytał Cole. Przebiegł wzrokiem tekst. - Podają, że należała do zakonu w Mount Angel. Co w takim razie robiła w Oakdale?

- Miała problemy z biodrem i cztery lata temu zrobili

jej endoprotezę. Od tej pory mieszkała z rodziną. - Podeszła do barku, wzięła gazetę. Czytając, bezgłośnie poruszała ustami, marszcząc brwi.

- Znałaś ją?

Powoli podniosła na niego wzrok. Kiwnęła głową.

- Tak. Zajmowałam się kotem. Panem Oczko.

- Pan Oczko. - Cole stłumił uśmiech.

Powoli docierało do niej znaczenie tego, co się stało.

- Nie - wyszeptała. Oparła się o blat. - Niedobrze mi. Oddychała urwanie. Cole podskoczył do niej.

- Hej, Psorko, już dobrze. Weź głęboki oddech.

- Wcale nie jest dobrze! - wydusiła zdyszonym szeptem.

- Przykro mi z powodu twojej znajomej, ale musisz się uspokoić. Wdech

- komenderował. - Wydech.

Usłuchała. Wyprostowała się, oddychała głęboko. Nie mogła opanować wstrząsającego nią drżenia. Otarła oczy. Cole podał jej serwetkę.

- Chcesz o tym pogadać? Może to przyniesie ci ulgę. Popatrzyła na niego. Dwanaście lat temu nie zabrał jej

na bal, lecz teraz naprawdę się niepokoił. Przycisnęła serwetkę do nosa, potrząsnęła głową, ale po chwili zmieniła zdanie.

- Dobrze. Masz rację. To chyba pomoże. - Wytarła oczy. - W marcu siostra Marguerite miała urodziny. Rodzina urządziła jej przyjęcie. Było fondue, pyszne ciasta.

Złożyła serwetkę, nabrała powietrza, popatrzyła mu prosto w oczy. Było w nich tyle ciepła. Poczowała ucisk w gardle. Zmusiła się, by panować nad emocjami.

- Siostra Marguerite odeszła, a to oznacza.... - głos jej się łamał, łzy znowu napłynęły do oczu. - To oznacza, że...

- Mów, Psorko, wyrzuć to z siebie. Co to oznacza? Broda zadrzała jej niebezpiecznie.

- Skoro siostra odeszła, to oznacza, że... że ja... - Nie mogła się przemóc, by wydusić te słowa. Wreszcie wybuchły jak wulkan. - Jestem najstarszą cnotką w całym Oakdale!

ROZDZIAŁ CZWARTY

Był pewien, że się przesłyszał. Albo źle zrozumiał.

Stał nieruchomo, próbując pozbierać myśli. Eleanor zaniósła się szlochem.

Płakała inaczej niż dziewczyny, z jakimi miewał do czynienia. Żałośnie, jak ktoś, kto rzadko pozwala sobie na łzy i brak mu doświadczenia.

Potrząsnął głową. Czy to może być prawda? Pozostała niewinną panienką? Nawet w Oakdale ten fakt musiał budzić zdumienie.

Przegarnął palcami czuprynę, zmełł pod nosem przekleństwo. To miał być przyjemny, spokojny wieczór.

Nie miał wprawy w pocieszaniu innych. Owszem, potrafił posłużyć się wyuczonym wdziękiem, a w razie potrzeby posunąć do manipulacji. Był w tym doskonały. Ale ta sytuacja wymagała innego zachowania.

Ostrożnie, nie bardzo wiedząc, czym to się może skończyć, położył dłoń na plecach Eleanor. Chciał w ten sposób dodać jej otuchy. Ich szkolna przyjaźń nie wykraczała poza zwyczajowe ramy, nigdy nie łączyło ich nic bliższego. Spodziewał się, że czując w nim wsparcie, zanieśnie się łkaniem. Ona jednak bez wahania padła w jego ramiona.

Objął ją delikatnie.

Nadal szczupła i wiotka. I dość wysoka, prawie metr siedemdziesiąt wzrostu. Zawsze podobały mu się jej szczupłe dłonie, delikatne i długie palce. Przyglądał się, jak zaciska je na długopisie, objaśniając mu zawiłości matematyki. Lubił jej włosy koloru miodu, ledwie widoczne piegi. Kojarzyła mu się z nobliwą i wymagającą nauczycielką. Przesunął dłonią po jej włosach, uśmiechnął się mimowolnie. Rozpuszczone, równo przycięte do ramion. Niewinne jak ona - żadnej pianki czy żelu.

- Masz ładne włosy, Psorko - wymamrotał. Łkanie umilkło, a Cole uśmiechnął się szerzej.

Jego reakcja, gdy usłyszał, że Eleanor nadal jest sama, zaskoczyła go. Bo nieoczekiwanie sprawiło mu to przyjemność. Dziwne. Nie przyjechał tu, by odświeżyć wspomnienia. Pragnął szybko załatwić sprawę i wrócić do Los Angeles. Poza tym jak ognia unikał kobiet w typie Eleanor. Gustował w przelotnych romansach.

Mokra plama na jego koszuli powiększała się w szybkim tempie.

Eleanor wciąż przytulała się do niego.

- Już lepiej? - zapytał z uśmiechem.

Nie unosząc głowy, skinęła potakująco. Odchyliła się tylko, jakby nagle zdając sobie sprawę, że przywiera do niego całym ciałem.

Drżącymi palcami zdjęła okulary, by otrzeć łzy.

- Pewnie się zastanawiasz, co to miało znaczyć, jak powiedziałam, że jestem... No wiesz...

- Najstarszą cnotliwą panną w całym Oregonie? - rzeczowo podsunął Cole.

- Nie! - zaproponowała z żarem. - Wcale nie powiedziałam, że w całym Oregonie! Tylko w Oakdale. - Przytknęła dłoń do ust. - O Boże - wyszeptała z przerażeniem. - Mam nadzieję, że nie w całym stanie!

Nie mógł się powstrzymać, by nie wybuchnąć śmiechem.

- Póki w Oregonie mieszka choć jedna zakonnica, to ci nie grozi. -

Widząc jej urażoną minę, dodał ze skruchą:

- Przepraszam. Ale podchodzisz do tego tak, jakby to był jakiś problem.

- Problem? To dramat! - Wytarła oczy, założyła okulary. - Mam dwadzieścia osiem lat.

- Hmm. Ale chyba spotykałaś się z jakimś chłopakiem.

- Popatrzył na nią uważnie. Z jego twarzy trudno było cokolwiek wyczytać. - Chyba chodziłaś na randki?

Wzruszyła ramionami.

- W college'u spotykałam się z Sheldonem Kuznitskym.

- No i?

- No i nic - wyznała. - Byliśmy na jednym roku na medycynie. On się nie liczy.

- Dlaczego?

Skoro już tyle mu powiedziała, to będzie brnąć dalej.

- Spotkaliśmy się trzy razy, a on nawet nie spróbował mnie pocałować.

- No nie! - Potrząsnął głową. - Psorko, nie zawsze trzeba czekać, aż ktoś zrobi pierwszy krok. Powinnaś to wiedzieć. Czasem mężczyzna oczekuje, że kobieta wykaże się inicjatywą.

Mówił z uśmiechem, ciepło. To zawsze na nią działało. Znowu ogarnęła ją dawna słabość.

- Naprawdę?

- Tak.

Nie potrafiła wyrwać się pod uroku tych błękitnych oczu.

Malująca się w nich czułość daleka była od zmysłowego zainteresowania, lecz i to ją cieszyło.

- Tak mówisz - westchnęła. - Może nawet bym i zrobiła ten pierwszy krok, ale wątpię, by to coś dało.

- Dlaczego?

- Sheldon panicznie bał się zarazków. Chyba miałby opory.

Cole przybrał podejrzliwie zagadkowy wyraz twarzy.

- Bał się zarazków?

- Miał bzika na tym punkcie. - Kiwnęła głową. - Brzydziły go zarazki, wszelkie wydzieliny. - Zmarszczyła brwi. - Zrezygnował z medycyny, bo nie potrafił się przemóc. Nawet sól fizjologiczna wydawała mu się czymś okropnym. Chyba został bibliotekarzem.

Starał się niczego po sobie nie pokazać, jednak nie zdołał ukryć uśmiechu. Eleanor po chwili też uśmiechnęła się blado.

- Możesz sobie znaleźć sensowniejszego chłopaka niż ten Kuznitsky - z przekonaniem rzekł Cole. Przesunął palcami po jej policzku, zatrzymał dłoń. - Uda ci się, jestem tego pewien.

- Tak myślisz? - wyszeptała. Kiwnął głową, oczy mu pociemniały.

Pochylił się ku niej lekko, a może to była tylko jej ima-ginacja, pobożne życzenie?

Gdyby tak można nauczyć się, jak postępować z mężczyzną, jak go oczarować! Przejść jakiś kurs, przestudiować podręczniki. Zawsze się dobrze uczyła...

Naraz ją olśniło. Aż zaniemówiła z wrażenia. I do wspomnień związanych z Cole'em dołączyło inne. Dotąd o tym nie pamiętała.

- Ty mógłbyś mi pomóc. Odsunął rękę. Uniósł brwi.

- Pomóc?

- Tak - kiwnęła głową. - To by się mogło udać - powiedziała bardziej do siebie niż do niego.

- Co by się mogło udać? - spytał podejrzliwie.
- Jedyne sposoby, żeby się czegoś nauczyć, to wyęźona praca i całkowite poświęcenie sprawie - powiedziała. - Sam tak mówiłeś.
- Jeszcze mocniej zmarszczył czoło.
- Do czego to się odnosi?
- Do mnie. - Nieoczekiwany pomysł z każdą sekundą potężniał jak tocząca się kula śniegowa. - Co zrobiłeś, gdy bałeś się, że możesz zawalić chemię? Poprosiłeś, bym ci pomogła. - Popatrzyła mu prosto w oczy. - Poprosiłeś mnie o pomoc - rzekła z naciskiem. - I zdałeś na piątkę.
- Co dalej?
- Przypominasz sobie, jak zaliczyłeś matkę u pana Ya-mato? Pamiętasz, co wtedy powiedziałeś?
- Eleanor, to było dwanaście lat temu.
- Wiem. I pewnie sama już dawno bym zapomniała, ale wtedy mi coś obiecałeś. - Nabrała powietrza. - Mam nadzieję, że dotrzymasz słowa.
- Eleanor, skoro ci coś obiecałem, dotrzymam słowa. Tylko przypomnij mi, o co chodzi.
- Po zdaniu egzaminów powiedziałeś, że dzięki mnie masz szansę na stypendium. Że bez mojej pomocy nie mógłbyś marzyć o college'u.
- To prawda. I nigdy ci tego nie zapomnę.
- Obiecałeś, że spełnisz moje życzenie, bez względu na

to, jakie by nie było. W dowolnym czasie i w dowolnym miejscu. - Bez tchu czekała na odpowiedź.

- Teraz pamiętam. - Uśmiechnął się ze skruchą. - No dobrze. - Oparł dłonie na blacie. Patrzył na nią przenikliwie, - Więc o co prosisz?

Strzelaj.

Zagryzła wargi. Jak na razie idzie całkiem nieźle. W zasadzie już prawie się zgodził.

- Cole - zaczęła, uśmiechając się nieśmiało. Twarz mu złagodniała.

- Mów, Psorko.

Zamrugła. Jej oczy były jak dwa przejrzyste jeziora.

- Nauczysz mnie miłości?

ROZDZIAŁ PIĄTY

Cole, który jeszcze przed chwilą się uśmiechał, zmienił się na twarzy.

Oparł się bokiem o blat, jakby się bał, że zaraz upadnie.

- Przepraszam, ale chyba cię nie zrozumiałem.

Oparł ręce na biodrach, przysunął się do Eleanor i popatrzył jej prosto w oczy.

- O co mnie prosisz?

Eleanor zacisnęła palce na krawędzi blatu.

- Zostań moim nauczycielem - oświadczyła, unosząc brodę. - Tak jak ja byłam twoją nauczycielką.

Przyglądał się jej z niedowierzającym zdumieniem. To ją otrzeźwiło.

Teraz sama zaczęła się dziwić, że się na to zdobyła.

Choć może to nie odwaga, a desperacja. Chce się zmienić, jest na to gotowa. A nawet więcej - musi się zmienić. A Cole może jej w tym pomóc.

- To wspaniały pomysł, by wreszcie się tego nauczyć

- zagała.

- Co takiego?

- Chcę dowiedzieć się czegoś więcej na temat mężczyzn.

- Wskazała na niego palcem. - Jesteś mężczyzną, prawda?

Przed laty złamał jej serce, teraz wskaże jej drogę. Zakreśli pełne koło.

Najlepiej od razu złapać byka za rogi. Czują się niezręcznie w towarzystwie mężczyzn, brakowało jej obycia. Jeśli przy Cole'u nabierze trochę ogłady, z innymi też pójdzie jej łatwiej. Czyż to nie proste jak słońce? Jak homeoterapia: żeby wyzdrowieć, należy przyjąć niewielką dawkę tego, co zainicjowało chorobę.

Cole wyciągnął rękę i ostrożnie odgarnął Eleanor za ucho pasemko włosów.

- Eleanor, pochlebia mi twoja prośba. - Potrząsnął głową. - Ale spełnienie jej nie jest możliwe.

Czują, że jeszcze moment, a zaczną płakać. Wzięła się w garść. Musi kuć żelazo, póki gorące.

- Dlaczego? Ja ci nie odmówiłam, gdy poprosiłeś o pomoc. Czy tak?

- Ale chodziło o matematykę.

- Również fizykę i biologię.

- To coś całkiem innego.

- Dlaczego? - nie ustępowała. - Bez oporów podzieliłam się z tobą wiedzą. Teraz role się odwróciły. Nie proszę o coś, co zajmie ci dużo czasu. Może brak mi doświadczenia, ale sporo czytałam, więc jestem zorientowana. Poza tym obiecałeś.

Poczuł kropelki potu na karku. Ze złością potarł je dłonią. Nie tego się spodziewał po dzisiejszym wieczorze. Liczył na coś całkiem innego. W jej towarzystwie zawsze czuł się dobrze. Aż do dzisiaj.

Spotykali się przez tyle miesięcy, a jemu dopiero wtedy otworzyły się oczy, gdy rzuciła w niego książką. Zakochała się w nim, a on ją zranił.

Przestali się widywać. Brakowało mu ich rozmów, jej uśmiechu, sposobu, w jaki poprawia

okulary. Chciał wynagrodzić jej swoją niezręczność, zaprosić na bal, obrzucić gardeniami.

Powstrzymał się i był z tego dumny. Eleanor, pomimo swej mądrości, nie wiedziała, że on na nią nie zasługiwał. Ani wtedy, ani teraz.

Nie zważając na jej zdumienie, ujął ją za rękę. Poza tym, że urodzili się w tym samym miasteczku, dzieliło ich niemal wszystko.

- Eleanor - zaczął wolno, starannie dobierając słowa, by jej nie urazić. - Seks to coś wyjątkowego. Tu nie da się niczego nadgonić, wszystko przychodzi w swoim czasie, w odpowiednich okolicznościach. - Starał się, by nie zabrzmiało to jak kazanie. - A już szczególnie w odniesieniu do kobiety. Seks bez zaangażowania uczuciowego to gra nie warta świeczki. Ten pierwszy raz powinien być wyjątkowy. - Był z siebie dumny. Przynajmniej ustrzeże ją przed jej urzekającą, lecz szalenie niebezpieczną naiwnością. Ktoś pozbawiony skrupułów wykorzystałby ją bez mrugnięcia okiem.

Potał kciukiem o wierzch jej dłoni i uśmiechnął się pokrzepiająco.

- Pochlebiłaś mi, nawet nie wiesz, jak bardzo. Ale nadejdzie dzień, gdy poznasz tego jedyne, mężczyznę, na którego naprawdę zasługujesz. I wtedy... będziesz zadowolona, że poczekałaś. - Skinął głową, rad z siebie. Czuł się jak rycerz, chyba pierwszy raz w życiu.

Poczuła, że oblewa się rumieńcem. Powoli docierało do niej znaczenie jego słów. Zamrugła gwałtownie.

- Ty myślisz... myślisz, że prosiłam cię... - nie mogła mówić. - Że chciałam poprosić cię o seks?

Cole zmarszczył brwi. Zabrakło mu tchu. Wyrwała palce z jego uścisku.

- Czyś ty oszalał? Myślisz, że mogłabym prosić cię o coś takiego? -
Wycelowała palcem w jego pierś. - Sądysz, że jestem aż tak
zdesperowana? Że jedyne, co mogę zrobić, to najać sobie kochanka?

- Co ty opowiadasz? - obruszył się. - Nic takiego nie pomyślałem. Czy
wspomniałem, że masz mi płacić?

- To się rozumiało samo przez się.

- Co za bzdura! Chodziło o wypełnienie obietnicy.

- Wcale cię o to nie prosiłam! Nie chciałam żadnego seksu! Ani przez
moment o tym nie pomyślałam. Nawet gdybyś był jedynym facetem pod
słońcem, nigdy bym...

- Dzięki - powstrzymał ją, wyciągając rękę. - Wystarczy, już rozumiem.

- Wypuścił głośno powietrze. - W takim razie, o co ci chodziło?

- Żebyś nauczył mnie flirtować. Nic więcej. Bym czuła się swobodniej,
wiedziała, jak radzić sobie z mężczyznami. A jeśli chodzi o seks, to
sama się o to zatroszczę. Kiedy uznam to za stosowne. I wypchaj się
swoimi dobrymi radami i apelami o cierpliwość!

- Chyba zaczynam rozumieć - odparł po chwili. - Mam cię nauczyć
flirtowania, byś mogła kogoś usidlić i zakosztować z nim seksu, tak?
Zastanowiła się.

- To nie brzmi najlepiej, ale... tak. - Wytrzymała jego wzrok. - Ciągle
jestem sama. Chciałabym coś przeżyć, ale potrzebuję cennych
wskazówek. Ty jesteś mocny w tych sprawach, mógłbyś udzielić mi
korepetycji.

- Mówisz jak o zaliczeniu przedmiotu - skrzywił się.

- Staram się podejść do tego pragmatycznie - prychnęła. - Bez pracy nie ma kołaczy. Twoja pomoc będzie nieoceniona.
- Akurat! - Przepęłniła go taka złość, że mimowolnie zaczął przemierzać pokój. - Nie wiem, skąd ci się wziął taki kretyński pomysł, ale wybij to sobie z głowy!
- Kretyński? - Przecież już wyjaśniła, że chodzi jej o coś innego, niż początkowo myślał. - A obietnica? Często rzucasz słowa na wiatr?
- Przestań. Oczywiście, że nie.
- W takim razie, dlaczego odmawiasz?
- Eleanor...
- Dobrze, rozumiem. Wtedy zdobycie stypendium było dla ciebie najważniejsze, ale po latach widzisz to inaczej.
- Było najważniejsze...
- Lubiałam cię uczyć. - Nieoczekiwanie poznawała te strony swojej natury, o których istnieniu wcześniej nie miała pojęcia. Uśmiechnęła się z obłudną słodyczą. - Nie przeszkadzało mi, że mam mniej czasu dla siebie. - Zmarszczyła lekko czoło. - Za bardzo przejęłam się twoim stwierdzeniem, że beze mnie nigdy byś się nie dostał do college'u. Młodzi ludzie są w większości idealistami. Nie możesz ponosić odpowiedzialności za coś, co powiedziałeś dawno temu. Rozumiem.
- Jestem odpowiedzialny - odparł, podchodząc ku niej.
- I pamiętam o obietnicy. Ale tej prośby nie mogę spełnić
- zgasił ją.
- Wszystko, czego zechcesz, i kiedy zechcesz. Tak powiedziałeś.
- Słuchaj, zostaję w Oakdale miesiąc, może dwa. Wy-

myśl coś innego. To, o co prosisz, jest niewykonalne. To jakiś absurd. -
Sięgnął po kawałek bakłażana. Uśmiechnął się. - Jutro sama się będziesz
z tego śmiała. Patrzyła, jak przetyka kęs.

- Co jest niby takie absurdalne? - zaatakowała. - Że chcę nauczyć się
flirtu? Poszerzyć wiedzę, zyskać pewność siebie? Tobie się to udało.

- Miłość to coś innego. Po prostu się zdarza.

- Ale nie mnie. Dlatego muszę się nauczyć, jak wzbudzać
zainteresowanie mężczyzn.

Cole pokręcił głową.

- Nie musisz. Jesteś w porządku, atrakcyjna na swój sposób.

Znowu ją zbywa. Zacisnęła usta.

- Nie jestem atrakcyjna. Gdyby tak było, nasza rozmowa nie miałaby
miejsca. Gdybym była w porządku, teraz na twoim miejscu siedziałby
Steve i zajadałby się bakłażanem w ostrym sosie.

Przestał jeść.

- Kto to jest Steve?

- Nie ma żadnego Steve'a.

- No to dlaczego...

- Żeby ci to jasno przedstawić! Nie proszę o komplementy, tylko o twoją
pomoc. Zostajesz w Oakdale przez miesiąc?

- Tak. Miesiąc, może dwa. Eleanor...

- Dwa w zupełności wystarczą. Szybko się uczę. Przez pół semestru
opanowałam wszystkie grzybice.

Cole upuścił widelec na talerz.

- Eleanor, na litość boską - wymamrotał.

- Ktoś musi mi pomóc! - Klepnęła dłonią w blat. - A ty się do tego najbardziej nadajesz. - Zmierzyła go wzrokiem.

Nie będzie przecież zdradzać, że jest jedynym kandydatem. Na początku tej rozmowy chciała pokazać mu się w innym świetle. Chciała, by ujrzał w niej zmysłową kobietę, a nie spokojną i rozsądną Eleanor, jaką pamiętał ze szkoły. Ale teraz bardziej przemawiał do niej pomysł ko-repetycji ze sztuki uwodzenia.

- Naucz mnie tego, co sam umiesz.

Od lat nie czuł się tak niezręcznie. Miałby ją zmienić, uczyć swoich sztuczek?

Poznać tajniki flirtu, by postawić na swoim, zdobyć kogoś lub coś, czego się zapragnęło... Skuteczne i sprawdzone metody, wszystko proste. Lecz gdy w grę wchodzi emocje, kończy się zabawa. I łatwo można pobłądzić. Miałby ją do tego popychać?

Pikantny sos palił go w żołądku.

- Muszę napić się wody. - Zaczął iść w stronę zlewozmywaka, lecz Eleanor go uprzedziła. Przyglądał się jej w milczeniu. Płynne, spokojne ruchy, naturalność chwytająca za serce. To zawsze mu się w niej podobało. Ten wrodzony wdzięk.

Kiedy zaczęła go uczyć, nie był pewien, czy da radę, czy okaże się wystarczająco zdolny. Wyzwanie wydawało się ponad siły, lecz miał w sobie zawziętość i nieprawdopodobny upór. Wtedy tylko Eleanor w niego wierzyła...

Podawała mu szklankę. Pił, przyglądając się dziewczynie. Pochłonięta własnymi myślami. Ciekawe, czy zdaje sobie sprawę, jaki wpływ wywarła na jego życie, jak bardzo go zmieniła?

Dopiero przy niej odnalazł samego siebie. Po raz pierwszy uwierzył we własne możliwości.

Jej chodzi o to samo. Chce odnaleźć swój cel, być kochaną. Tylko zabiera się do tego bez sensu, z gruntu źle.

Uśmiechnął się, widząc, że na niego patrzy. Tak, powinien jej pomóc.

Jest jej coś winien. Przynajmniej uświadomi jej kilka rzeczy.

- Chciałabyś kiedyś wyjść za mąż?

- Tak - odrzekła powoli.

- Zamierzasz mieć dzieci?

Skubała mankiet kremowego sweterka.

- Oczywiście. Chociaż biorąc pod uwagę mój wiek, muszę się pośpieszyć. - Popatrzyła na niego zza szkieł. - A ty? Chcesz kiedyś mieć dzieci?

Przestał się uśmiechać.

- Nie. - Już tyle razy przerabiał podobne pytania, że dawno przestał mieć problemy ze szczerą odpowiedzią. - Nie jestem typem rodzinnym, Psorko. Dzieci mogą dla mnie nie istnieć.

Pokiwała głową.

- W takim razie powinieneś przygarnąć pieska. To wspaniały sposób, by rozbudzić w sobie instynkt rodzicielski. Wiem, że to może zabawnie brzmieć, ale tak jest w istocie. Zwierzęciem musisz się zajmować, dbać o jego potrzeby, bo jego los zależy od ciebie. To doskonała nauka.

Dowiesz się, jakim będziesz rodzicem.

Cole oparł się o blat. Wydawał się rozluźniony.

- Już to wiem. Jestem egoistą, niecierpliwym, trudnym we współżyciu. Więcej czasu spędzam w podróży niż w domu. A gdy już tam jestem, zachowuję się jak tyran.

Nikommu nie oddam pilota. Nie chcę się wiązać. Nie chcę się żenić. Spochmurniała. Chętnie by cofnął te gorzkie słowa, ale nie będzie kłamać. Jest, jaki jest.

I naraz spłynęło na niego olśnienie. Aż do tej chwili podświadomie czerpał siły z jej wiary. Bo ona w niego wierzyła. Bywało, że w trudnych chwilach oczami duszy widział przed sobą jej twarz, przekonanie, malujące się w jej oczach. Jak wtedy w liceum, gdy milcząco dodawała mu sił. Nie, nie może jej powiedzieć wszystkiego. Westchnął. Ogarnęło go poczucie osamotnienia.

- Powinnaś wyjść za mąż - powiedział łagodnie. - I mieć gromadkę dzieci, które wyrosną na wspaniałych naukowców.
- Moje dzieci, niestety, będą krótkowidzami.
- Ale bardzo inteligentnymi - uśmiechnął się.
- Hmm. Może powinnam spotykać się wyłącznie z ograniczonymi typkami o świetnym wzroku. Wiesz co? - ożywiła się. - Mam pomysł. Będę umawiać się tylko z tymi, którzy zmierzą sobie iloraz inteligencji.
- I zrobią badania okulistyczne - zaśmiał się.

Naraz spoważniał. Eleanor jest jak dziecko we mgle. Z pewnością nie odważy się zapytać, czy jej partner przypadkiem nie jest nosicielem choroby wenerycznej. Jeśli w ogóle takie pytanie przyjdzie jej do głowy. Sam facet na pewno o tym nie wspomni. Poza tym sprawa zabezpieczenia. .. Sposepniał. O tym też żaden nawet się nie zająknie, to jasne. Och Boże! Potrząsnął głową. Czuł, że nadchodzi nieuniknione.

- Wracając do tej obietnicy... - zaczął. Charakterystycznym gestem poprawiła okulary, rozprostowała loczek, który wcześniej Cole odgarnął jej za ucho.
- Jeśli zamierzasz oświadczyć, że nie...
- Nie zamierzam.
- Nie poddam się tak łatwo. - Oczy się jej rozszerzyły. - Co ty powiedziałaś?
- Zgadzam się. - Skrzyżował ramiona. - Pomogę ci. Po pierwsze, jestem ci to winien. Po drugie, skoro nie masz żadnych doświadczeń, to jest sporo rzeczy, o których powinnaś wiedzieć, nim się z kimś zwiążesz na poważnie.
- Ja myślę o tym bardzo poważnie - zapewniła. Przymrużył niebieskie oczy. Taki entuzjazm może się bardzo źle skończyć.
- Na wstępie ustalmy warunki. Ja jestem ekspertem -wskazał kciukiem na siebie, potem wycelował palcem w czubek jej nosa - ty stawiasz pierwsze kroki. Traktujmy to jak obóz dla rekrutów. Będę jak wredny sierżant, którego bolą zęby. Może chcesz trochę czasu na zastanowienie?
- zapropomował wielkodusznie.
- Nie potrzeba mi czasu - przerwała stanowczo. - Im szybciej zaczniemy, tym lepiej.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Teraz, dwa dni po tamtej rozmowie, pluła sobie w brodę. Co jej strzeliło do głowy, żeby wyskakiwać z takim pomysłem? Wyzwania, jakim ma stawić czoło, chyba przekraczają jej siły. Niepewnie popatrzyła na wejście do baru. W środku podejrzanie ciemny. „Nora”, piękna nazwa. Że też Cole wybrał akurat takie miejsce!

Nic nie tłumaczył. Poleciał tylko, by na tę pierwszą lekcję ubrała się jak na randkę i poczekała na niego przy barze. A gdyby zdarzyła się okazja do nawiązania znajomości, ma wdać się w niezobowiązującą pogawędkę.

- Dobrze mu mówić - mruknęła, zbierając się na odwagę i wchodząc do środka.

Po prawej stronie stały stoliki. Ławy z wysokimi oparciami zasłaniały je przed oczami ciekawskich, zapewniając kameralne schronienie. Po lewej ciągnął się długi bar okolony wysokimi stołkami. Przy nim siedziały dwie kobiety i paru mężczyzn. W typie troglodytów.

Masywni, długowłosi, ubrani w czarne skóry. Jakby przed chwilą zeszli z motocykli.

Wyprostowała się, zwilżyła językiem usta. Gdzie jest Cole? Ona stawia pierwsze kroki, a on od razu rzuca ją na głęboką wodę?

Nerwowo wygładziła kołnierzyk jedwabnej bluzki. Chyba nie ubrała się najlepiej. Granatowa jedwabna spódnica zapinana z boku na rząd guzików, bluzeczka w odcieniu pastelowego błękitu. W porównaniu do tych siedzących przy barze kobiet... Blondyna w obcisłym gorseciku i dzinsach tak opiętych, jakby zaraz miały pęknąć. Druga, pulchna brunetka, miała na sobie minisukienkę wysoko odsłaniającą nogi. Eleanor mimowolnie skubała guziki swej sięgającej do pól łydki nobliwej spódnicy. Zagryzła usta.

Pomysł, by Cole został jej przewodnikiem w sztuce uwodzenia, już nie wydawał się taki dobry.

Popatrzyła na pochylonych nad kontuarem zwalistych facetów. Jej plan miał kilka słabych punktów. Pewnie by tak nie naciskała, gdyby Cole nie zdenerwował jej zapewnieniami, że nie powinna się zmieniać. Jasne, wszyscy ją lubią, ale nic więcej. Jeśli się nie przemoże, to przez następne trzydzieści lat nadal będzie sama. To ją zmotywowało. Uniosła głowę, nabrała powietrza i podeszła do wolnego stołka.

- Przepraszam... pana. Czy to miejsce jest wolne? -zapytała cieniutkim głosem. Po chwili chrząknęła i jeszcze raz powtórzyła pytanie, bo olbrzym prawdopodobnie wcale jej nie usłyszał.

Dzikus odwrócił głowę. Ostrzyżony na łyso, z tyłu miał jasny kucyk. Uniósł ciężkie powieki, wzruszył ramionami.

- Bardzo dziękuję.

Jak na razie idzie całkiem dobrze. Wspięła się na stołek, przycisnęła torebkę do brzucha. Osilek przyglądał się jej w milczeniu. Uśmiechnęła się blado.

- Czy to dobry drink? - Skinęła na stojące przed nim piwo.

- Uhm.

Pojawienie się barmana wybawiło ją z niezręcznej sytuacji.

- Co podać? - Krępy wąsacz nawet nie udawał, że się uśmiecha.

- Zaraz się zastanowię. - Rozejrzała się, lecz nigdzie nie dostrzegła menu. - Może jakiś napój? Jakie proponujecie na początek?

- Jakie mamy napoje? - Barman odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

- Brązowawe.

- Brązowawe? Może włoskie? - dopytywała się. -

0 smaku orzechowym? Albo kawowym?

Barman wymienił znaczące spojrzenie z osiłkiem. Bezwiednie przycisnęła do siebie torebkę.

- Proszę piwo imbirowe. Z dużą ilością lodu. - Uśmiechnęła się.

Facet z kucem prychnął i zapatrzył się w swoją szklanice. Barman potrząsnął głową i odszedł, nim zdążyła zmienić zdanie i zamówić coś innego. Choć właściwie po co, przecież piwo jest brązowawe, prawda?

Patrzyła, jak nasy-puje do szklanki lodu, wlewa czerwony syrop i dopełnia wodą mineralną. Zamieszał drinka długą łyżeczką i postawił go przed Eleanor.

- Proszę. Grenadina i woda sodowa z lodem. U nas nazywa się to Shirley Tempie. Smacznego. - Odszedł, by napełnić komuś kieliszek.

Czółenko zsunęło się jej z nogi. Przysunęła szklanke,

1 próbując wcelować stopą w but, pociągnęła przez słom-

kę łyk różowego napoju. Smakuje dobrze. Przynajmniej tyle. Cole obserwował ją znad stojącego pod ścianą stolika. Ukrył twarz w dłoniach.

Jest gorzej, niż się spodziewał.

Celowo umówił się z nią tutaj. Zorientuje się, jak Eleanor sobie radzi w sprawach męsko-damskich. A w piątkowy wieczór taki bar zawsze jest pełen nieokrzęsanych, lecz gotowych do zabawy facetów.

Działał z rozmysłem. Może Eleanor dojdzie do wniosku, że bardziej odpowiada jej spokojny związek z jakimś miłym, kulturalnym mężczyzną.

Podniósł głowę. Chyba mu się udało. Wciśnięta między dwóch dryblasów, jedną ręką kurczowo przyciskała torebkę, drugą przytrzymała szklanekę z dziecinnym drinkiem. I ten jej strój... dobry w latach pięćdziesiątych.

Siedziała z oczami wbitymi w zacieki na suficie.

Żaden z sąsiadów nie zwracał na nią uwagi. Zacisnął pięści. Chętnie by przyłożył tym bezmyślnym bykom. Mogliby przynajmniej zagadać.

Biedna Eleanor. Uśmiechała się z przymusem, udając, że dobrze się bawi. Zrobiło mu się jej żal.

Szybko dopił piwo, okrążył stoliki i podszedł do baru, jakby dopiero wszedł do środka. Poufałym gestem położył rękę na plecach dziewczyny i wsunął się między nią a jej sąsiada. Oparł łokieć na kontuarze i z uwodzicielskim uśmiechem zajrzał w zdumione oczy Eleanor.

- Tu jesteś, maleńka - odezwał się ze zmysłową słodyczą. - Nie widziałem cię od... - Demonstracyjnie popa-

trzył na zegarek. - Od południa. - Zniżył głos. - Tęskniłaś za mną? - zamruczał pieszczotliwie.

Jego usta znalazły się tak blisko, że zabrakło jej tchu. I jeszcze to jego przeciągłe, zmysłowe spojrzenie...

Z wrażenia omal nie spadła ze stołka. Różowy drink zachlupotał w jej niepewnych dłoniach i kilka kropli opadło na blat.

Cole wyjął szklankę z jej palców, badawczo popatrzył na zawartość.

- Widzę, że postanowiłaś poczekać na margaritę. Bardzo mądrze. -

Porozumiewawczo mrugnął do siedzącego obok osiłka, który przyglądał się im z niedowierzaniem. - Ostatnim razem ta łasiczka strzeliła sobie kilka drinków przed kolacją i do północy nie mogłem jej ściągnąć z balkonu. Uwielbia tańce latynoamerykańskie. - Wycelował w nią palcem. - Pamiętaj, żadnych wygibasów na golasa, póki nie będziemy w domu. Zgoda, Króliczku?

Wyprostował się, pomógł jej zsunąć się ze stołka.

- Pożegnaj swoich nowych kumpli, Cukiereczku. - Cole rzucił na bar kilka dolarów i skinął barmanowi, który przyglądał się tej scenie z otwartymi ustami. - Dzięki za opiekę nad tą małą kusicielką. Do zobaczenia.

Wyprowadził Eleonorę z mrocznego baru. Szła, nie odzywając się, dopiero gdy znaleźli się na ulicy, wydobyła z siebie głos.

- Dlaczego to zrobiłeś? - wydukała wreszcie.

Nie chciał wdawać się w takie dyskusje przed barem. Zdecydowanym gestem ujął ją za łokieć i pociągnął do auta.

- Eleanor, bardzo cię przepraszam.

- Przepraszasz? - Musiała nieźle wyciągać nogi, by za

nim nadażyć. - Nawet się nie waży tak mówić! To było niesamowite!

- Po prostu... - urwał zdumiony. - Co ty powiedziałaś?

- Byłam kiedyś na pokazie tańców latynoamerykańskich. I kiedy powiedziałaś, że przepadam za salsą... - Teatralnym gestem uderzyła się w piersi. - Widziałeś minę barmana? A potem, kiedy nazwałeś mnie kusicielką...

Patrzył na nią z nie ukrywanym zdumieniem.

- Podobało ci się w „Norze”?

- W barze? - Skrzywiła się. - Nie, jasne, że nie. Ale podobały mi się ich miny! - W świetle ulicznej latarni jej oczy płonęły. Zachichotała. -

Poszłabym tam jeszcze raz i pokazała, co potrafię!

Z wrażenia wbiło go w ziemię. Eleanor nawet nie spostrzegła, że nagle znalazła się kilka kroków przed nim.

- Wiesz co? - oznajmiła, nadal idąc przed siebie, wymachując torebką i nie zauważając, że zostawiła go z tyłu. - Chętnie bym się teraz napiła margarity. - Głos, zazwyczaj melodyjnie miękki, teraz zmienił się nie do poznania. - Gdyby był tu jakiś balkon, spokojnie mogłabym zatańczyć na golasa!

Zaklął pod nosem, a idąca naprzeciw nich starsza para, ominęła Eleanor szerokim łukiem. Pięknie, zaraz zaczęły się plotki i domysły.

Złapał ją za ramię, kierując w stronę czarnego bmw.

- ^Tańczyłaś kiedyś na balkonie? - zapytała, mierząc go spojrzeniem, w którym malowała się szczerą ciekawość.

- Na pewno nie ostatnio. - Otworzył drzwiczki samochodu. - Co ten barman dolał ci do drinka? - wymamrotał przez zęby.

- Coś słodkiego jak ulepek - odpowiedziała. - Dokąd jedziemy?
- Do mnie. Chcę zerknąć na Sadie, potem znajdziemy sobie coś do jedzenia i pogadamy.

Normalnie, jak ludzie, dodał w duchu, zatrzasnął drzwi i okrążył auto, by zająć miejsce za kierownicą. Nie znał Eleanor od tej intrygującej strony, lecz doskonale zdawał sobie sprawę, jak opacznie ktoś na jego miejscu mógłby odczytać jej swobodne zachowanie.

- Zapnij pas - zarządził, włączając silnik.
- Pogadamy - wymamrotała, przetrwając jego propozycję. - No dobrze.
- Pchnięta impulsem, wyciągnęła rękę i nacisnęła guzik radia. Wnętrze auta wypełniła głośna popowa muzyka.

Eleanor wygodnie rozparła się w wyściełanym skórą fotelu. Uderzając palcami w torebkę, poruszała głową w rytm muzyki.

- Cole - odezwała się nieoczekiwanie. Jeszcze nie minęli pierwszej przecznicy. - Czy w twoim domu jest balkon?

Cole omal nie otarł się o policyjny radiowóz.

- Och!

Ogromny dom w stylu nowoorleańskim leżał tuż nad brzegiem jeziora Mirror Pond. Najbardziej prestiżowa dzielnica. Eleanor nie mogła ochłonąć ze zdumienia.

Cole Sullivan tu mieszka?

- Wynajmujesz ten dom? - zapytała, rozglądając się ciekawie. Kute balustrady ciągnące się wzdłuż domu obiegały go na dwóch kondygnacjach. Z okna na parterze sączyło się ciepłe światło.

- Nie.

Zatrzymał samochód, wyłączył silnik.

- To mój dom.

Jej zdumienie sprawiło mu satysfakcję, czuła to.

- Myślałam, że na stałe mieszkasz w Kalifornii.

- Bo tak jest. - Otworzył drzwi, popatrzył na nią pytająco. - Wsiadasz?

Nie dała się prosić. Wsiadła i razem z nim ruszyła do drzwi

wejściowych. Już z daleka słychać było podekscytowane warczenie Sadie. Psiak rzucił się na powitanie jak wystrzelony z procy, ślizgając się na lśniącej podłodze.

- No chodź, malutka! - zawołała Eleanor pieszczotliwie, pochylając się nad rozradowanym szczeniakiem.

Sadie, machając ogonem i radośnie kręcąc tułowiem, podsuwała się do głaskania. Najwyraźniej rozpoznała głos Eleanor. Jednak to widok Cole'a uszczęśliwił ją najbardziej.

- Bardzo się do ciebie przywiązała - stwierdziła Eleanor. Cole przykląkł i zaczął mocować się z bokserką. Sadie polizała go po twarzy. Eleanor uśmiechnęła się. - Pokochała cię. Masz szczęście. Czasami musi minąć sporo czasu, nim taka nieszczęsna znajda przekona się do nowego właściciela. Ale ty i Sadie...

Cole poderwał się z kolan.

- Chodź, oprowadzę cię po domu. Nie czekając, ruszył do przodu.

Przez moment pies wydawał się równie zdumiony, jak Eleanor. Jednak to Sadie prędzej się pozbierała. W radosnych podskokach podążyła za swoim panem. Eleanor ruszyła powoli. Co też go ugryzło, że nagle tak się zerwał?

Zapalał światła w mijanych pomieszczeniach. Piękne schody z jasnego dębu, za nimi otwarta kuchnia połączona z jadalnią. Cały parter pomalowany pastelową żółcią. Piękne drewniane posadzki, ozdobne

gzymy na ścianach, meble wykończone szklanymi drzwiczkami.
Wrażenie niewymuszonej elegancji i ciepła.

- Przepięknie - powiedziała z zachwytem. Potrząsnęła głową. - Ja od wieków mam tę samą kanapę. - Przeciągnęła palcami po gładkim blacie sosnowego stołu. - Sam dobieierałeś meble?

- Nie. - Podszedł do piekarnika i zajrzał do środka. - Co powiesz na zapiekankę z kurczakiem?

- Kto ją przygotował?

- Moja gosposia - odparł, wyjmując z lodówki zawczasu otwartą butelkę białego wina.

- Jasmine? - I znowu za późno ugryzła się w język. To nie moja sprawa, pomyślała. Co mi do jakiejś Jasmine? Pewnie chodzi po domu w stringach i w dodatku potrafi gotować, nie to co ja. Skrzywiła się w duchu.

Cole wyjął korek z butelki.

- Lubisz wino? - spytał.

- A szampan się liczy?

- Jak najbardziej. Często go pijasz?

Ostatni raz jakieś trzy lata temu, gdy Teddy zrobił doktorat, przypomniała sobie.

- Od czasu do czasu. To taki przyjemny drink, *n'est-ce pas?*

Cole uśmiechnął się szerzej.

- *Mais qui.* - Wyjął z wiszącej szafki dwa kieliszki, napełnił je winem. - Proszę. Oprowadzę cię po domu, a przez ten czas zapiekanka się podgrzeje.

Sadie nie odstępowała ich na krok, gdy mijali kolejne pokoje. Cole mówił o nich dość pobieżnie. We wszystkich wnętrzach, choć pięknie i ze smakiem umeblowanych, brakowało osobistych akcentów. Żadnych zdjęć, żadnych bibelotów.

- Wspaniale wszystko urządziłeś - podsumowała, idąc ostrożnie, by nie rozlać wina. Wchodzili na piętro. - Kiedy kupiłeś ten dom?

- Pięć lat temu.

- Pięć lat temu? - Jest od niej dwa lata starszy, czyli wtedy miał dwadzieścia pięć lat. I był w stanie kupić taki dom? Jak on to zrobił? I po co? To dom dla dużej rodziny... - To znaczy, że zaglądasz tu regularnie? Myślałam, że...

- Od skończenia szkoły byłem w Oakdale dwa razy. Raz, by sfinalizować kupno domu. - Uchylił drzwi. - To pokój gościnny.

- Aha. - Chętnie by pozostała przy poprzednim temacie. - Jest inny niż reszta pomieszczeń. Bardziej męski w wyrazie. Podoba mi się.

- Dzięki. Pierwotnie to miał być mój pokój. - Zgasił światło i ruszył korytarzem przed siebie.

Wbiła wzrok w jego oddalającą się postać.

- Poczekaj!

Dogoniła go przy gościnnej łazience. Omiotła ją przelotnym spojrzeniem.

- Bardzo ładnie - rzekła. - Co to znaczy, że „pierwotnie” to miał być twój pokój? Czyli to nie jest pokój gościnny?

Zwykle nie wtykała nosa w nie swoje sprawy. Mama

od dziecka jej wpajała, że każdy ma prawo do prywatności. A Cole zawsze był skryty.

- Po co ci taki dom - ciągnęła - skoro w nim nie mieszkasz? Chyba że zamierzasz przenieść się tu na stałe?

- Nie kupiłem go dla siebie, a dla rodziców - odparł.

- Powiedziałeś, że byłeś w Oakdale dwa razy. Raz, by kupić dom. A ten drugi raz?

Cole patrzył na nią w milczeniu. Upił łyk wina.

- Przyjechałem na pogrzeb mamy. Zabrakło jej powietrza.

- Przepraszam - wyszeptała.

Przepełniły ją wyrzuty sumienia. Nie знаła jego rodziców. Raz widziała jego mamę na rozdaniu świadectw. Delikatna szczupła pani o włosach przyprószonych siwizną i o nieśmiałym uśmiechu.

- Co się jej stało?

Ku jej zdziwieniu usta Cole'a wygięły się w gorzkim uśmiechu.

- Jej serce nie wytrzymało.

- W jakim była wieku?

- Miała czterdzieści cztery lata.

- Chorowała na serce? Miała problemy ze zdrowiem? Nigdy nic nie mówiłeś.

- Żeby tylko ze zdrowiem. - Widziała, że nie zamierza tego wyjaśniać.

Wręcz czuła tłący się w nim gniew.

- Twój ojciec żyje? - zapytała.

- Tak.

- Mieszka tu? - Wskazała na dom.

- Nie.

Na tym powinna skończyć. I może by tak zrobiła, lecz

nie mogła się powstrzymać, by nie zadać jeszcze jednego nurtującego ją pytania.

- To po co ci dom, w którym nikt nie mieszka?

- Świadczy o mojej pozycji.

Niby racja, lecz ciągle miała dziwne wrażenie, że chodzi o coś więcej. I ten niemal wyczuwalny gniew, jakim były podszyte jego słowa.

- Komu chcesz zaimponować?

- Dobrze pytanie. Rzeczowe. Chcę zaimponować ojcu. - Upił łyk wina. -

Ale to nie jest przyjemny temat, zwłaszcza przed kolacją. Chodź, pokażę ci resztę pięt. - Ruszył korytarzem.

Podążyła za nim w zamyśleniu. Właściwie tak niewiele wie o Cole'u. W kim znalazł wsparcie po stracie matki? Ona ma rodziców, brata. Jeśli Cole odwrócił się od rodziny, to nasuwa się tylko jeden wniosek - musi mieć kogoś bliskiego. Jakaś przyjaciółkę?

- To główna sypialnia. - Pchnął kolejne drzwi. Wyraźnie dawał do zrozumienia, że poprzedni temat uznał za zamknięty.

Westchnęła. Zerknęła do środka. Przestronne i wyjątkowo ładnie urządzone wnętrze.

- Zatrudniłeś dekoratora czy dekoratorkę? - zapytała, wchodząc do środka.

- Dekoratorkę. Czemu pytasz? Rozejrzała się, pokręciła głową.

- Tak myślałam. Bo ten, kto urządzał pokój, dobrze wiedział, co spodoba się kobiecie.

- To znaczy? - Oparł się o framugę.

Eleanor dotknęła dłonią mięsistej narzuty ozdobionej

wzorem winorośli. Tak jak reszta pomieszczeń, pokój był pomalowany na żółto, lecz dodano kilka akcentów w mocniejszych kolorach: ciemnej zieleni, głębokiej czerwieni i złota. Na ścianach świetnie dobrane akwarele.

- Zaciszne schronienie. - Odwróciła się do niego. - Miejsce, gdzie po męczącym dniu można się ukryć przed światem i rozkoszować luksusem. I rozluźnić.

- Widzę, że znasz się na rzeczy.

- To prawda. Po moim domu trudno się tego domyślić, jednak lubię ładne wnętrza. - Podeszła do ciemnej komody idealnie pasującej do reszty wyposażenia. - W szkole nieraz próbowałam delikatnie wprosić się do ciebie. - Uśmiechnęła się. - Wiedziałeś o tym?

- Nie. Kiedy to było?

- Kilka razy rzucałam subtelne aluzje. Ale nigdy tego nie podchwyciłeś.

- Przepraszam. - Podeszedł tak blisko, że był ledwie kilka kroków od niej.

- Nikogo nie zapraszałem do domu.

- Twarz mu złagodniała. - Gdybym kogoś zaprosił, to właśnie ciebie, Psorko.

- Jasne - rzuciła lekko, starając się opanować emocje.

- Pewnie mówisz to wszystkim, którzy cię uczyli.

- Poza tobą nikt inny mnie nie uczył. Tylko tobie jednej zaufałem. Późno bo późno, lecz wreszcie jesteś w moim domu. A ten jest nieporównywalnie lepszy niż stary.

- Uhm.

Popatrzyła uważnie. Nawet najdrobniejsze szczegóły niosły jakieś przesłanie. Na szafce z prawej strony łóżka książka i okulary. Druga szafka podejrzanie pusta. Czy to znaczy, że śpi tu sam?

Chętnie by zerknęła do garderoby i łazienki. Ale już sam widok szerokiego łóża wystarczył, by zaczęła snuć niebezpieczne fantazje...

- Przystopujmy z tym winem. - Cole delikatnie przytrzymał kieliszek, który już podnosiła do ust. - Masz rumieńce - powiedział. - Oczywiście to może być opóźniona reakcja na Shirley Tempie.

- Nabijasz się, ale ja nie zawsze zamawiam takie drinki.

- Nie? No to powiedz mi, jaki jest twój ulubiony napój?

- Piwo imbirowe. Z lodem. I dużo piany.

- Masz śliczny uśmiech, Psorko. Mówił ci to ktoś? Oszołomiona, tylko pokręciła głową.

- Nigdy? - Spochmurniał. - Ludzie często nie widzą tego, co mają tuż przed oczami. - Przesunął kciukiem po jej ustach. - Twój uśmiech jest prawdziwy. I uroczy. Zawsze mi się podobał. I masz piękne oczy. Och Boże! Serce zatrzepotało jej w piersi. Czowała się jak zahipnotyzowana. Gdyby ktoś krzyknął, że się pali, nawet by się nie poruszyła.

- Dlaczego... - z trudem przełknęła ślinę - dlaczego mi to mówisz?

- Bo powinnaś to wiedzieć. Gdy kobieta ma świadomość, co mężczyznom się w niej podoba, zyskuje nad nimi władzę.

- Ale skąd mam to wiedzieć? - wyszeptała. - Skąd mogę wiedzieć, co się komu podoba?

- Z czasem się tego nauczysz.

- A zanim to nastąpi?

- Mężczyźni i kobiety przyciągają się nawzajem. Działają instynktownie. Wkrótce sama się o tym przekonasz.

Psorko, jesteś weterynarzem. Co się dzieje, gdy ptaki zaczynają okres godowy? Uwodzą się, strosząc najładniejsze piórka, podkreślają swoje walory. A potem wycofują się, prowokują do pościgu. Tańczą, śpiewają. Gdy są gotowe, już nic nie jest w stanie ich powstrzymać...

Padła w jego ramiona. Objęła go mocno. Wino niebezpiecznie zachlupotało w kieliszku. Kilka kropel spadło na plecy Cole'a. Torebka uderzyła go w łopatkę, a niedoświadczona usta dziewczyny dosięgły celu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Nie miała doświadczenia w całowaniu. Jedyne, co jej pozostało, to iść na żywioł. Poddać się pragnieniu, które spalało ją od tylu lat.

Spontanicznie przywarła do jego ust. Pragnęła zanurzyć palce w tych falujących, czarnych włosach, czuć tuż przy sobie jego mocne, twarde ciało.

Kiedy się cofnęła, zdyszana, z oczami płonącymi jak gwiazdy, z radosnym zdumieniem uświadomiła sobie, że wcale nie chce przestać, że zamiast wziąć się w karby, pragnie tylko jednego - ulec pokusie.

Cole rozluźnił krawat.

- No dobrze - odezwał się zmienionym, nieco chrapliwym głosem. -

Może to nie było dokładnie to, co miałem na myśli...

Jej uśmiech zgasł. Cole nabrał powietrza, upił trochę wina. Widziała, że stara się wziąć w garść.

- Nie to? - zapytała drżącym głosem.

- Nie, ale... - Potarł dłonią kark. - Naprawdę szybko się uczysz. -

Potrząsnął głową i zaśmiał się cicho. Wcale nie jestem pewien, czy moja pomoc rzeczywiście jest ci potrzebna.

Popatrzyła na niego i nagle ją zmroziło. Cole trzymał

kieliszek, drugą rękę miał opuszczoną. Czyli nawet jej nie objął. Nie zrobił kroku w jej stronę. I, prawdę mówiąc, wydawał się bardziej rozbawiony niż zakłopotany.

Stropiła się nie na żarty. Co ja najlepszego zrobiłam? On wcale nie miał na myśli ich dwojga. Gdy mówił o ptasich zalotach, nie było w tym żadnych podtekstów!

Pociągnęła porządny łyk wina.

- Cóż - zaczęła niepewnie. - Analogia do ptaków była świetna. -

Uśmiechnęła się z przymusem. - Naprawdę wiele mi to wyjaśniło.

Teorię dobrze podeprzeć praktyką, prawda? - Zerknęła na zegarek. -

Och, jak już późno! Nic dziwnego, że oczy mi się zamykają.

Cole popatrzył na swój zegarek.

- Dopiero kwadrans po ósmej.

- Właśnie. Rano mam operację, więc... Marzę, by wskoczyć do łóżka... to znaczy... położyć się spać.

- A co z kolacją?

- Z kolacją? Nie dam rady. Przez cały dzień coś skubałam. Wiem, że to okropny zwyczaj. - Dopiła wino. -Dziękuję za wino i... za lekcję.

Na miękkich nogach ruszyła na dół. Cole zatrzymał ją.

- Eleanor, odwiozę cię. Twój samochód został pod barem.

- No tak. Myślałam, że wezwę taksówkę.

- Taksówkę? - obruszył się. - Po co? - Ujął ją za ramię. - Jeśli naprawdę nie chcesz zostać, podrzucę cię do twojego auta. - Sięgnął po kluczyki, potrząsnął głową. -Jeszcze nigdy nie miałem tylu problemów z namówieniem dziewczyny na kolację.

Stojąc na ganku, zapatrzył się w migoczącą w świetle księżyca tafłę jeziora. Zapalił papierosa. Pierwszy raz od ponad czterech lat. Zerwał z nałogiem, lecz dzisiejszej nocy pozwolił sobie na trochę szaleństwa. Gdy po odwiezieniu Eleanor wrócił do domu, zapiekanka już dawno wyschła na wiór. Sadie z ochotą wbiła w nią zęby. Przypalone naczynie moczyło się w zlewozmywaku. Cole poprzestał na piwie i papierosie. Zaciągnął się głęboko. Czyż to nie dziwne, że w zadymionym Los Angeles może nie palić, a tutaj, gdzie powietrze jest czyste jak kryształ, znowu go ciągnie do papierosów? Co się dzieje?

Wypuścił dym w stronę księżyca. Może na tym polega problem? Lubił jasne sytuacje. Przyczyna i skutek, biel i czerń.

Z Eleanor było inaczej. Tak wiele go kosztowało, by nie chwycić jej w ramiona, nie oddać pocałunku.

Pociągnął łyk piwa, zapatrzył się na Sadie goniącą za świerszczem. Psiak pisnął, gdy owad podskoczył z nienacka. Cole przywołał suczkę, by ją uspokoić. Machając ogonem, rzuciła się w jego stronę. Ogarnęły go wyrzuty sumienia.

Jak zareaguje Eleanor, gdy usłyszy, że nie zamierza zatrzymać psa, że znalazł Sadie nowy dom w Los Angeles?

- Tam ci będzie lepiej niż ze mną - powiedział, drapiąc Sadie za uszami.
- Mnie stale nie ma w domu, a nawet gdy jestem, nie robię zapiekanek z kurczakiem. Ze mną wcale by ci nie było wesoło. Nie mam serca do zwierzaków.

Żeby tylko do zwierzaków! Zaciągnął się po raz ostatni, zgasił papierosa.

By myśleć o innych, trzeba pozbyć się egoizmu. On tego nie potrafił. Gdy wytyczył sobie cel, szedł po trupach, nie licząc się z niczym i nie bacząc na konsekwencje.

Dlatego Eleanor nie pasuje do jego układanki.

Zaklął, przydeptał niedopałek. I zaraz sięgnął po następnego papierosa. Ten dziecinny pocałunek. Jest taka słodka, taka niewinna. Plótł bez sensu, że wcale nie potrzeba jej nauki. Oczywiście, kłamał. I, choć nadal nie mógł w to uwierzyć, bardzo pragnął zostać jej nauczycielem. Gdy wyszli z baru, ledwie się pohamował, by nie wziąć jej w ramiona. Przy niej zapominał, po co tu przyjechał. Ale nie po to przez tyle lat harował. Wreszcie jest blisko celu. I dopnie swego. Nawet jeśli potem będzie mu jeszcze trudniej. Nie da się sprowadzić z obranej drogi. Nie zdradzi Eleanor swych planów, bo może próbowałyby mu je wyperswadować.

Przez całe dzieciństwo i młodość ojciec Cole'a terroryzował najbliższych. Jego opinia była ostateczna i niepodważalna. Wymagał absolutnego podporządkowania. Pragnienia i dążenia syna miał za nic. Gorzej - ambicje Cole'a, by się kształcić i piąć w górę, Jack Sullivan postrzegał jako zagrożenie.

Cole ukrył przed rodzicami, że koleżanka pomaga mu w nauce. Nie zdradził, że stara się o stypendium do colle-ge'u. Gdyby wyszło na jaw, że marzy o studiach, ojciec natychmiast by to storpedował.

Rodzice zwykle pragną, by ich pociechy zaszły w życiu dalej niż oni. Jack Sullivan był inny. Uznał, że to, co jest dobre dla niego, jest równie dobre dla jego syna.

Takie podejście wyrobiło w Cole'u poczucie winy, że pragnie czegoś więcej. Początkowo próbował przedstawiać swoje racje, lecz szybko pojął bezsens jakiegokolwiek dyskusji. Ojciec wyładowywał bowiem swoją złość na mamie. Biedaczka była między młotem a kowadłem. Podczas gdy inne dzieci chwaliły się w domu stopniami, on milczał. To był chory układ, lecz Cole musiał to zaakceptować, nie miał wyboru. Popatrzył na jezioro. Przez lata jego jedynym celem było zarabianie pieniędzy. Zgromadzenie sumy, jakiej Jack nie zdołałby uzbierać przez całe życie. Sądził, że to pomoże mu stłumić tkwiący w nim żal i gniew. Dopiął swego. Zdobył majątek, miał więcej niż ludzie trzykrotnie od niego starsi. Lecz to nie przyniosło mu ukojenia. Zapieczęta złość, gryząca go od czasów, gdy oboje z matką byli na łasce ojca, nadal nie wygasła. Być może zemsta przyniesie mu ukojenie.

Zemsta. Powszechnie potępiana i odrzucana. Te apele o wybaczenie i miłosierdzie, budowanie mostów. Tylko że ojciec nie wykazał najmniejszej inicjatywy w tym względzie. Nigdy.

Teraz syn pomści matkę. To Jack i jego zakład przyczynili się do jej śmierci.

Właściciele Orły nie cackali się z pracownikami. Jack też wolał niczego nie zauważać. Przez nich mama najpierw straciła radość życia, a potem zdrowie. Teraz za to zapłacą. Sprawią, że padną na kolana, poczują, że władza jest tylko iluzją. Nikt nie ma prawa rozporządzać życiem innych. To odnosi się również do niego. Wie, że niechcący może

skrzywdzić niewinnych ludzi. I przyjdzie mu za to odpokutować.

Wysłuchał się w miarowy odgłos psiego ogona uderzającego w ścianę ganku. Powstrzymał się, by nie pochylić się nad Sadie. Lepiej, by się do niego nie przywiązywała. Podobnie powinien postępować z Eleanor. Zamknął oczy, zacisnął palce na balustradzie. Widział przed sobą jej buzię, śmiejące się oczy. Nie zostawi jej teraz, to jasne. Obiecał, że pomoże. I dotrzyma słowa.

Może zresztą niepotrzebnie się wzdraga? Eleanor to jedyna osoba, przy której czuje się dobrze. Niedługo stąd wyjedzie. A ona nie będzie tęsknić do jego towarzystwa, gdy dowie się prawdy: że przyjechał do Oakdale, by zniszczyć własnego ojca.

Kto dzwoni w niedzielę o dziewiątej rano? Wyrwana ze snu, zamruczała ze złością.

Wczoraj wieczorem pochłonęła półlitrowe pudełko lodów i sporą garść ciasteczek. Nic dziwnego, że nie może się dzisiaj dobudzić. Przesadziła z cukrem. Gus już dobre pół godziny mruczy jej nad uchem i liże po włosach. Z pyszczka mu śmierdzi tuńczykiem, ale nawet to nie wyciągnie jej z łóżka.

- Przestań! - rzuciła w kierunku telefonu, przekręcając się na brzuch i zasłaniając głowę poduszką.

Pamiętała ze studiów, że niedosyt uczuć ludzie często rekompensują sięganiem po słodycze. Może dlatego tak się wczoraj na nie rzuciła.

- Przestań dzwonić! - wymamrotała ze złością. - Gus, bądź dobrym kotem i odbierz.

Rodzice albo Teddy, młodszy brat. Jak zwykle chcą ją wyciągnąć na rodzinne śniadanko.

Na samą myśl o spływających syropem gofrach z bitą śmietaną robiło się jej niedobrze.

Telefon ciągle dzwonił. Poddała się. Wysunęła rękę spod kołdry, przyciągnęła słuchawkę do ucha.

- Jeśli chodzi o śniadanie, to ja odpadam.

- Dlaczego? Westchnęła ciężko.

- Bo wczoraj wieczorem pożarłam półlitrowe pudełko lodów bananowych. Nawet nie mogę myśleć o gofrach. Powiedz rodzicom, że później do nich wpadnę.

- Dlaczego zjadłaś tyle lodów? W dodatku bananowych! Co jest?

- Teddy?

- Wciąż tak mówisz do brata? Ile on teraz ma lat?

- Dwadzieścia sześć. Zaraz, kto to? Cole?

- Dwadzieścia sześć. - W słuchawce rozległ się cichy gwizd. - Jak ten czas leci.

Sięgnęła po poduszkę, która wcześniej zsunęła się na podłogę. Usiadła. Czekwała, co będzie dalej.

- No więc, czemu zjadłaś tyle lodów?

- Byłam głodna.

Przez całe dwa dni zadręczała się myślą, czy zdoła się przełamać i jeszcze raz odezwać do Cole'a. Po tym pocałunku... Wczoraj wieczorem definitywnie stwierdziła, że to niemożliwe.

- Czujesz się na siłach, by odbyć kolejną lekcję?

- Dzisiaj? - Niestety, głos ją zdradził, choć starała się ukryć rezerwę. -

Nie dam rady. Muszę... - Gorączkowo

rozejrzała się po pokoju, szukając natchnienia. Jej wzrok padł na Gusa. - Muszę wykąpać kota. Na chwilę w słuchawce zaległa cisza.

- Myślałem, że koty same się myją.

- Hmm, zwykle tak. Ale Gus jest bardzo leniwy. - Podrapała kota za uszkami. Gus poderwał się i wyskoczył z łóżka. - Poza tym ma pchły. Cole westchnął.

- Psorko, daj spokój. Kto wie, może zostanę tu tylko miesiąc. Korzystaj z okazji. Chętnie podzielę się swoją wiedzą i doświadczeniem. A sama wiesz, że mogę cię wiele nauczyć.

Zdenerwowała się jeszcze bardziej. Czyżby pił do tego pocałunku?

- Powiedziałeś, że nie potrzeba mi żadnej nauki. Przynajmniej tak mi się wydaje. - Wyprostowała się, obciągnęła bawełnianą koszulkę. - Poza tym trochę się nad tym zastanawiałam i myślę, że...

- Chyba masz rację. Ja też sporo przemyślałem. I uważam, że to najbardziej rozsądne podejście do twojego problemu.

- Mojego problemu.

- Właśnie. Chyba nie najszcześliwiej rozpoczęliśmy. Nie dogadaliśmy się. Ale tym razem będzie inaczej. Ta lekcja będzie naprawdę przyjemna.

Ostatnia też mogła taka być.

- I całkiem prosta. Nie będziesz musiała nic robić. Ciekawe. Podciągnęła kolana.

- Wyglądałaś przez okno? - Cole zmienił taktykę. - Jest piękna wiosenna pogoda. Zaplanowałem wycieczkę do Sisters. Kiedy ostatnio tam byłaś?

Malownicze miasteczko Sisters było jedną z okolicznych atrakcji, często odwiedzaną przez turystów. Tuż nad nim majestatycznie wznosiły się trzy szczyty również w lecie pobielone śniegiem.

- Psorko?

- Już nawet nie pamiętam, chyba dawno - wymamrotała cicho.

- Za godzinę po ciebie przyjeżdżam.

Przyłożyła rękę do czoła. Sama nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Chciałaby pojechać, ale...

- Eleanor? - Cole przerwał przedłużającą się ciszę.

- No dobrze, pojedę.

- Urocze miasteczko, co?

Eleanor popatrzyła na Cole'a przez ciemne okulary. Zaskoczył ją.

- Wydawało mi się, że nie przepadasz za takimi dziurami.

- Tylko za naszym Óakdale - wyjaśnił z uśmiechem, szukając miejsca do parkowania. Sam nie wiedział, czemu czuje się tak wspaniale. Może to sprawa prawdziwie wiosennej aury?

Eleanor była nieco spięta, pewnie przez ten piątkowy wieczór. Przez całą drogę siedziała ze złożonymi rękami i wzrokiem wbitym w przednią szybę.

- Jeszcze nie zgłodniałaś? - zapytał, obrzucając spojrzeniem jej szczupłą figurę. Gdzie też się pomieściły lody i ciastka? W obcisłych džinsach, prostej bluzeczce i cienkim niebieskim sweterku wyglądała jak wtedy, gdy miała siedemnaście lat. - Bo gdybyś miała ochotę coś zjeść, to...

- Nawet mi nie wspominaj o jedzeniu, błagam.

Przycisnęła ręce do brzucha. Jeszcze nie doszła do siebie. Niepotrzebnie tak się wczoraj objadła. Poza tym to wszystko przez niego. Po co plótł te bzdury o ptasich godach?

Zerknęła na niego z ukosa. W dodatku jest taki przystojny. Tym gorzej dla niej. Gdyby tak wpadł jej w oko ktoś inny, nabrałaby odpowiedniego dystansu.

Pochwyciła jego uśmiech.

- Co cię tak śmieszy? - zapytała podejrzliwie.

- Może małego klinika, to by ci pomogło. Parę kroków stąd jest lodziarnia...

- Uff! - Pośpiesznie wysiadła z auta.

- Już dobrze. - Wysiadł i symbolicznym gestem podniósł ręce w górę. - Więcej ani słowa o jedzeniu. -Zatrzasnął drzwi, włączył alarm.

Mieszkając w Los Ange-s les, nauczył się robić to automatycznie. - Ale nim wyjadę, muszę cię wyciągnąć do restauracji. To moja życiowa misja.

Popatrzyła przed siebie.

- Dokąd idziemy?

Partery zadbanych, utrzymanych w stylu Dzikiego Zachodu, domów mieściły nowoczesne sklepy. Nawet w niedzielę wszystkie czekały na odwiedzających miasteczko turystów.

- Mam tu kogoś znajomego - rzekł, lekko ujmując ją za ramię i pociągając naprzód. - To właściwa osoba na rozpoczęcie naszego projektu „Eleanor”.

- Projektu „Eleanor”? Ja mam być projektem?

- Psorko, to był twój pomysł. Jeśli chcesz się wycofać,

to nie ma sprawy. Zostawiamy wszystko, jak jest i idziemy coś przekazać... - ugryzł się w język. - Czegoś się napić. Ty decydujesz.

- Och, przepraszam! - Mijająca ich dziewczyna uśmiechnęła się, manewrując wózkiem obwieszonym torbami z pieluszkami i zakupami. Towarzyszący jej młody mężczyzna niósł w nosidełku niemowlę. Słodka twarzyczka dziecka z ufnością spoczywała na piersi ojca. Eleanor odprowadziła ich wzrokiem. Czuła ucisk w piersi.

- Chodźmy - powiedziała z determinacją. - Niczego nie odwołuję.

Zdumiała się, gdy po paru minutach marszu Cole oznajmił, że są u celu. „Salon piękności i odnowy biologicznej”. Otworzył drzwi i weszli. Z otwartymi szeroko oczami patrzyła, jak Cole podchodzi do recepcjonistki i oświadcza, że pani Lippert jest umówiona. Umówiona? Na co? W życiu nie była w takim salonie. Nawet włosy podcinała w zakładzie, do którego można było wejść prosto z ulicy, bez żadnych zapisów.

Klientki czekały na swoją kolej ubrane w miękkie morelowe szlafrociki. Pewnie firmowe. Cole nadal rozmawiał ze śliczną recepcjonistką.

- Mogę panią prosić, pani Lippert?

Odwróciła się zaskoczona. Tuż przed nią stała przystojna blondynka ubrana w śnieżnobiały fartuszek. Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko i powiedziała:

- Jestem Amy. Teraz oddam panią w ręce naszych specjalistów od urody i masaży. W razie potrzeby zaraz się zjawię. - Podała pager. - Wystarczy wystukać AMY. A--M--Y - powtórzyła powoli, uśmiechając się ponownie.

Z pewnością widziała, że przybyła jest coraz bardziej zdenerwowana. Eleanor marzyła tylko o jednym - by natychmiast stąd uciec. Odwróciła

się do Cole'a, lecz ten ją uprzedził.

- Wszystko już ustalone - rzekł z uśmiechem. - Zobaczymy się za kilka godzin. Rozluźnij się i miłej zabawy. Zostawiam cię w dobrych rękach. Tak, ale nie w twoich, przemknęło jej przez myśl. Cole popatrzył na Amy.

- Proszę dobrze się o nią zatroszczyć. Będę koło trzeciej - dodał, puszczając oko do Eleanor, jakby chcąc dodać jej otuchy. Zniknął za szklanymi drzwiami.

Czuła się jak dziecko, które pierwszy raz zostaje samo w przedszkolu. Przecież nie będzie płakać i wołać, by jej nie zostawiał! W milczeniu patrzyła, jak odchodzi ulicą. Ogarnęło ją poczucie zawodu. I nagle ją olśniło. Zgodziła się na wycieczkę, bo chciała być przy nim. Widzieć go, słyszeć jego głos, wdychać zapach jego wody po goleniu. Z drżeniem i nadzieją, jakich dotąd nie znała, czekać na chwilę, gdy dotknie jej ramienia.

O Boże.

Westchnęła ciężko. Nie będzie jej łatwo się wyleczyć z tego zauroczenia.

- To pani mąż? - zapytała Amy, prowadząc ją do przebieralni.

- Nie. - Weszła do przestronnego pomieszczenia. Na wieszakach wisiały rzędy identycznych morelowych szlafroczków. - Znajomy.

- Ach tak. Przyjemnie mieć znajomego, który wpada na takie świetne pomysły.
- To prawda. - Wzięła podany szlafroczek, wtuliła policzek w miękką tkaninę. - Bardzo przyjemnie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Godzinę później miała za sobą pierwszy w życiu masaż. Obawy, jakie wcześniej ją dręczyły, rozpierchły się. Teraz już była gotowa na wszystko. Czuła się odprężona, przyjemnie rozluźniona. Z ochotą i ciekawością ruszyła do sty-listki.

- To Suzanne - przedstawiła kobietę Amy. - Zajmie się włosami i makijażem.

Makijażem? Oczy Eleanor rozszerzyły się ze zdumienia. Lecz szampan, jakim Amy poczęstowała ją po masażu, zrobił swoje. Właściwie, dlaczego nie? Pójdzie na całość. I tak wszystko zostało ustalone za jej plecami. Zamiast się opierać, lepiej poddać się biegowi wydarzeń.

- Mam nadzieję, że masaż był przyjemny. - Suzanne uśmiechnęła, się, gdy Eleanor żarliwie potwierdziła ruchem głowy. - To dobrze. Proszę usiąść.

Eleanor usadowiła się wygodnie. Z uśmiechem patrzyła w lustro na krzątającą się stylistkę. Piękna dziewczyna. Włosy upięte na czubku głowy w niedbały węzeł, z którego zalotnie wysuwają się niesforne pasemka. Ubrana na biało jak reszta personelu. Perfekcyjny makijaż.. Eleanor westchnęła w duchu. Jej wystarczył tusz do rzęs i stara pomadka z czasów, gdy jej sąsiadka rozprawiała kosmetyki Avonu.

- Czy moje oczy też by się dało tak pomalować?

Suzanne uśmiechnęła się.

- Oczywiście. - Pochyliła się, jej twarz znalazła się przy policzku Eleanor. Teraz obie patrzyły w lustro. - Zawsze mnie korciło, by trochę poeksperymentować z tą buzią. - Zachichotała, widząc zaskoczoną minę Eleanor. - I co, nadal nic nie świta?

Eleanor zmarszczyła czoło. Czyżby to dawna klientka lecznicy? Pokręciła głową.

- Przykro mi, ale nie. Czy my się znamy? Suzanne przeciągnęła palcami po włosach Eleanor, badając ich strukturę i kondycję.

- Prawdę mówiąc, chyba nie poznałyśmy się osobiście. Obracałyśmy się w innych kręgach. Na nazwisko mam Corning. Już pamiętasz?.

- Corning - wymamrotała Eleanor. - Suzanne. - Nagle głośno wypuściła powietrze. - Sue Ann Corning?

- We własnej osobie.

Mimowolnie wzrok Eleanor przesunął się niżej. Bujny biust, jakim szczyciła się Sue Ann, teraz wydawał się całkiem zwyczajny.

- Zmniejszyłam je - scenicznym szeptem poinformowała ją Suzanne. Eleanor nakryła usta dłonią.

- Przepraszam! Naprawdę nie chciałam...

Brązowe oczy Suzanne rozjaśniły się w uśmiechu. Wcale nie czuła się dotknięta. Roześmiała się szczerze.

- Po liceum przeniosłam się do Los Angeles. Urodziłam dziecko.

- Aha. Ale dlaczego...

- Miałam już dość tego ciągłego zainteresowania.

- Miałaś dość?
- Tak, tego specyficznego zainteresowania. Dlatego zmieniłam nazwisko. Do celów służbowych, rzecz jasna. Jeśli chcesz, nadal możesz mnie nazywać Sue Ann. - Nie przestawała oglądać włosów Eleanor. - Kiedy zaczęłam pracować w tej branży, wydawało mi się, że Suzanne będzie lepiej brzmiało, bardziej elegancko. - Przewróciła zabawnie oczami. - Chyba zawsze chciałam, by traktowano mnie bardziej poważnie. Tak jak ciebie.
- Jak mnie? Chyba żartujesz.
- Nie żartuję. - Sięgnęła po kartonik z próbkami kolorów. - Pamiętam, że wszyscy zawsze mówili o tobie z szacunkiem. Eleanor zaprzeczyła. Poza kilkoma osobami, wśród których się obracała, nikt nie zaprzętał sobie nią głowy.
- Ale Cole tak - odparła Suzanne.
- Naprawdę? - wyrwało się jej niechcący.
- Tak. - Suzanne uśmiechnęła się. - Podziwiał cię. I nadal podziwia. Radość, jaka ją ogarnęła, zgasła niemal tak samo szybko, jak się pojawiła. Może i ją podziwiał, ale pociągała go Sue Ann. Jej pragnął. I choć minęło tyle lat, nadal utrzymywał z nią kontakt.
- Co się stało? - zapytała Suzanne, widząc w lustrze jej kwaśną minę.
- Zastanawiałam się nad złośliwością losu. Wcale nie chciałam, by traktowano mnie tak poważnie. Przeciwnie.
- Tak jak mnie?
- Właśnie.
- No nie, w to nie uwierzę! - Suzanne zaśmiała się.

- Z tego powodu w ogóle nie poszłam na bal maturalny.
 - Hmm - mruknęła Suzanne.
 - Jak wtedy było? Udało się? - Starła się, by zabrzmiało to lekko, lecz z trudem ukrywała ciekawość.
- Suzanne chyba nic nie spostrzegła. Uśmiechnęła się.
- Tak, to był świetny wieczór. To jedno z moich najlepszych wspomnień ze szkoły. - Położyła ręce na jej ramionach. - Wiesz co, mam pomysł, co zrobić z twoimi włosami. Chcesz to przedyskutować?
 - Nie, polegam na tobie.
- Teraz interesowało ją tylko, by wyciągnąć z Suzanne jak najwięcej szczegółów na temat tamtego balu sprzed dwunastu lat. Jak bawili się Suzanne i Cole? Są w kontakcie, choć minęło tyle lat. Jedna randka odcisnęła głębszy i trwalszy ślad niż miesiące wspólnej nauki. Poczowała ukłucie zazdrości.
- Suzanne - odezwała się, patrząc w lustro. - Tylko niech ta moja nowa fryzura nie będzie zbyt tradycyjna.
- Cole po raz trzeci popatrzył na zegarek. Za kwadrans czwarta. Umawiał się, że odbierze Eleanor o trzeciej, a ta przepadła gdzieś jak kamień w wodę.
- Przepraszam panią - odezwał się, po raz kolejny podchodząc do biurka recepcjonistki. - Może jednak jest dla mnie jakaś wiadomość. Nazywam się Cole Sullivan.
 - Przykro mi, ale nic nie ma.
 - I nikt nie wie, gdzie może być pani Lippert? Recepcjonistka uśmiechnęła się układowie, maskując zniecierpliwienie.
 - Niestety. Pani Lippert była ostatnią klientką Suzanne. Gdy skończyły sesję, obie wyszły z salonu.

- Rozumiem. Dziękuję. - Skinął głową i prawie wybiegł na ulicę. Słońce raziło w oczy. Nasunął na twarz ciemne okulary, oparł się o ścianę budynku. Był coraz bardziej niespokojny. Miał spotkać ją tutaj, pochwalić nową fryzurę i wręczyć prezent. Wyobrażał sobie zaskoczona minę Eleanor na widok sukienki, którą dla niej kupił.

Na tę myśl twarz mu złagodniała, uśmiechnął się do siebie.

Bładoróżowy jedwab w drobne kwiatuszki, długi, rozkloszowany dół.

Bardzo kobiecy fason. Krańcowo różny od tych beznadziejnych zestawów spódnica-bluzka, w których zawsze chodziła, A jednocześnie nic wystrzałowego, co mogłoby ją spłoszyć. Co z tego, że ma prawie trzydzieści lat, skoro jest naiwna jak dziewczynka. W dwudziesty pierwszy wiek trzeba ją wprowadzać ostrożnie i powoli.

Z oddali dobiegł go śmiech i ożywione głosy. Odwrócił się. Sue Ann szła w jego stronę, wraz z nią wysoka rudowłosa dziewczyna.

- Cześć! - Sue pomachała mu na powitanie. - Nie ma to jak przystojny mężczyzna, który czeka na ciebie po szaleństwie zakupów.

Cole skrzywił się ponuro.

Sue Ann podeszła bliżej, zdjęła mu okulary i popatrzyła badawczo.

- Co się tak denerwujesz? Uważaj, bo porobią ci się zmarszczki. Dam ci coś na to, nie przejmuj się. - Założyła mu z powrotem okulary.

- Sue Ann, do diabła, co się dzieje? Prosiłem cię...

- Ależ z ciebie gbur - przerwała mu. Wskazała na swoją towarzyszkę. - Nawet się nie przywitałeś.

Zmieszał się. Dziewczyna miała na twarzy bardzo ciemne okulary. Uśmiechnęła się olśniewająco. Jej usta lśniły uwodzicielsko. Kiedy indziej pewnie by się nią zainteresował i odpowiedział promiennym uśmiechem. Jednak teraz potrafił myśleć wyłącznie o Eleanor.

Wiotka rudowłosa uprzejmie skinęła głową.

Odwrócił się do Sue Ann.

- Posłuchaj, muszę wiedzieć, gdzie jest... Nagle go oświeciło.

Włosy w odcieniu płomiennej miedzi podkreślone złotymi pasemkami.

Lśniące w promieniach słońca. Wijące się w artystycznym nieładzie.

Twarz, którą zawsze widział bez makijażu, teraz zmieniona nie do

poznania. Aksamitna porcelanowa cera, zaznaczone różem policzki.

Przesunął wzrok niżej. Długa łabędzia szyja. Jak to możliwe, że wcześniej nigdy tego nie zauważył? Nie posiadał się ze zdumienia.

- Eleanor?

Widząc jego zaskoczoną minę, dziewczyna wprost rozkwitła. Na jednym policzku miała uroczy dołeczek, którego też dotąd nie spostrzegł.

- Cześć. Przepraszam, że czekałeś, ale... - Popatrzyła na Suzanne i tylko lekko wzruszyła ramionami. - Jak mawia Sue, skoro się powiedziało „a”, trzeba powiedzieć „b”. Gdy zobaczyłam siebie w nowej fryzurze i z makijażem, stwierdziłam, że powinnam doprowadzić transformację do końca. Dla samej siebie i dla ciebie, oczywiście.

- Dla mnie? - zapytał z niedowierzaniem.

- Zadałeś sobie tyle trudu. Nie mogę pozwolić, by nasz projekt zakończył się fiaskiem.

- Nasz projekt?

- Projekt „Eleanor”. Nie pamiętasz? - Rozłożyła ręce.

Torby z firmowym napisem „Och!” zawirowały w powietrzu. Jeśli w środku były stroje podobne do tego, jaki miała na sobie, to równie dobrze mogła je upchnąć w torebce. Cieniutka rdzawa tkanina oblepiała jej szczupłe ciało.

Potem długo, długo nic, tylko gołe nogi i sandałki na niebotycznych szpilkach. Opamiętał się, przesunął wzrok wyżej. I znów go замуrowało. Taka gwałtowna zmiana w ciągu paru godzin? Jak to możliwe?

- Stanik wonderbra - konspiracyjnym szeptem wyjaśniła Sue Ann. - Czyni cuda. Dla niej wymarzony.

Czyli nawet ciemne okulary nie są w stanie zamaskować jego zaskoczenia. To go otrzeźwiło. Przeniósł wzrok na twarz Eleanor. Skąd jej się wzięły takie usta? Pociągnięte brzoskwiniową pomadką, kusząco wygięte...

- Czy ktoś łaskawie zechce mi powiedzieć, co tu się dzieje?

- Postawiłyśmy na całkowitą przemianę - pośpieszyła z odpowiedzią Suzanne.

- Tylko końcowy efekt chyba nie za bardzo odpowiada twoim wyobrażeniom - z lekką skruchą podsumowała Eleanor. - Podobno chodziło ci o bardziej tradycyjny wizerunek.

- Tradycyjny? - Zacisnął kurczowo palce na trzymanej w ręce torbie. Eleanor wzruszyła ramionami.

- No tak. Tak czy inaczej, postanowiłam nie zatrzymywać się w połowie drogi. Rozumiesz?

- Nie, nie rozumiem. - Odwrócił się do Suzanne. - Co jej się stało z włosami? - Pokazał ręką na płomiennorude loki. - Zawsze były...
- Proste? - usłużnie podsunęła Suzanne.
- Nijakie? - wtrąciła Eleanor, unosząc brodę.
- Bez wyrazu? - przyszła jej w sukurs Suzanne.
- Banalne? - podchwyciła Eleanor.
- Nie - uciał. Jak ma im to wyjaśnić? Jego Psorka miała wspaniałe włosy. Normalne. Prawdziwe.

Eleanor wbiła kciuki w boki.

- Nie podoba ci się, prawda?

Czy mu się nie podoba? Dziewczyna, którą znał od lat, przeobraziła się w przepięknego motyla. Jest olśniewająca, to prawda, ale...

Ale to nie jest jego Eleanor.

- Jasne, że mu się podoba - szybko powiedziała Suzanne, szturchając go łokciem w zębra. - Co jest w tej torbie? Robiłeś zakupy?

- W torbie? - Boże, całkiem o niej zapomniał! Zdjął okulary. Miał nadzieję, że Eleanor zrobi to samo. Chciałby zajrzeć jej w oczy, znaleźć w nich powód tej nieoczekiwanej przemiany.

Jednak Eleanor nawet nie drgnęła. Brzoskwiniowe usta zacisnęły się w wąską linię.

- Torba ze sklepu dla pań - Suzanne nie dała się zbyć. - Co kupiłeś? Sięgnęła, by zajrzeć do środka, lecz Cole był szybszy. Cofnął się w porę. Nie miał złudzeń. W zaistniałej sytuacji jego nabytek nie wzbudzi entuzjazmu.

- To nie dla ciebie. - Schował torbę za plecy.
 - A dla kogo? - indagowała Suzanne.
- Posłał jej groźne spojrzenie, niedwuznacznie dając do zrozumienia, że zaraz ją udusi.
- Dla mojej gospodyni - zaimprovizował.
 - Jasmine? - domyślnie spytała Eleanor.
 - Tak. Za kilka tygodni ma urodziny, więc kupiłem jej prezent.
 - Urodziny? - Sue Ann zmarszczyła brwi. - Wydawało mi się, że ona ma urodziny w listopadzie.
 - Znasz Jasmine? - Eleanor popatrzyła na nią z przejęciem.
 - Oczywiście. Sama mu ją poleciłam. - Pokręciła głową. - Zawsze wysyłałam jej życzenia w listopadzie.
 - Przyjaźnisz się z jego gosposią? Sue Ann skinęła głową.
 - Byłam pewna, że jest Skorpionem. Poczuł na sobie wzrok Eleanor.
 - Dobrze, posłuchajcie. Nie jadłem lunchu i umieram z głodu. Zabieram Eleanor na obiad. - Popatrzył na nią wzrokiem nie znoszącym sprzeciwu. - Dziś jest niedziela. Chyba nie musisz kąpać kota czy coś w tym stylu, prawda?
- Zacisnęła brzoskwiniowe usta.
- Nie. - Odwróciła się do Suzanne. - A ty? Masz jakieś plany na dzisiaj?
 - Niestety, chyba jestem zajęta. Cole aprobująco skinął głową. Suzanne uśmiechnęła się szeroko.
 - Było mi bardzo miło, Eleanor. W razie jakichś problemów z włosami czy makijażem, zadzwoń. - Cmoknęła

ją w policzek. - Wyglądasz wspaniale. Tylko pamiętaj o piance.
Cole podszedł bliżej, by wziąć od Eleanor torby z zakupami. Przez chwilę stał tuż obok dziewczyny i patrzył na jej lśniące w słońcu loki. Owionął go tajemniczy, uwodzicielski zapach. Delikatnie zarysowane brwi Eleanor też miały teraz miedziany odcień.

Nieoczekiwanie przepełniło go przemożne pragnienie, by przeciągnąć po nich palcem. Było to tak niespodziewane, że sam się zdumiał.

Zacisnął palce na torbie.

- Tu zaraz obok jest restauracja - wymamrotał. - Podają świetne steki.

Może być? - Miał zmieniony głos. - Chyba nie jesteś wegetarianką?

- Nie. Steki mogą być - odpowiedziała cicho, niemal szeptem.

Stali, wpatrzeni w siebie, i dopiero Suzanne przerwała przeciągającą się ciszę.

- To do zobaczenia. Cole, tylko nie wyjedź bez pożegnania, dobrze?

Koniecznienie zadzwoń.

- Uhm - wymamrotał, nie odrywając ani na sekundę wzroku od Eleanor.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Rozejrzała się po wnętrzu. Przyćmione światło, kameralna atmosfera, nastrojowa muzyka sącząca się z ukrytych głośników. Na stoliku migocząca świeca w masywnym czerwonym świeczniku. Miejsce, które Cole wybrał na ich pierwsze spotkanie.

W nowym stroju czuła się trochę dziwnie. Ileż wrażeń było jej dotychczas niedostępnych! Jakże to dziwne i niesamowite uczucie dotykać gołą nogą chłodnej skóry fotela, upajać się lekkością delikatnych, eleganckich sandałów, cieszyć się błyskiem lakieru na paznokciach. Dlaczego wcześniej nikt nie otworzył jej oczu? Te długie spódnice i rajstopy, jakie to teraz wydawało się beznadziejne! Cole, siedzący na wprost niej, zatopił wzrok w oprawnym w skórę menu, lecz co chwila dyskretnie podnosił wzrok i zerkał na towarzyszkę. Wydawał się zbity z tropu.

Gdy przy siadaniu do stołu odsuwał jej krzesło, niechcący musnął ręką jej nagie ramię. Przez mgnienie czuła ciepło skóry, jedwabisty dotyk pokrywających ją włosków. To było nieprawdopodobne! Ta bliskość, jego ciepło i zapach...

Mogłaby przez cały wieczór powtarzać sobie, że to żadna randka, że tylko zabrał ją na obiad, ale po co się oszukiwać? Dla niej to była randka. Prawdziwa, wymarzona. Nawet jeśli Cole nie miał o tym bladego pojęcia.

Sięgnęła po kieliszek, pociągnęła przez słomkę łyk daiquiri. Pachniało słodko, czuło się leciutki posmak rumu. Powinna mieć się na baczności. Zawsze postępowała racjonalnie, trzeźwo oceniała sytuację. Teraz też musi tak postępować. Czyli przyznać, że jeszcze nigdy w życiu nie wyglądała i nie czuła się tak wspaniale jak teraz. Kopciuszek na balu. Z szarej myszki przeobraziła się w olśniewającego motyla. Dzięki stylistom i wizażystom, ich wprawie i doświadczeniu. Sama nigdy by tego nie osiągnęła.

Cole nie będzie siedzieć w Oakdale w nieskończoność. Jeśli dzisiejszy wieczór nic między nimi nie zmieni, to wniosek jest jeden - na zawsze i nieodwołalnie musi wybić go sobie z głowy.

Usłyszała, że po raz drugi coś do niej mówi. Upiła łyk, odstawiła kieliszek. Chrząknęła.

- Przepraszam. Pytałeś o coś?

- Tak. Czy już wiesz, co zamówić? Kiwnęła głową. Oczywiście, że wie. Cole skinął na kelnera, ten czujnie pośpieszył do stolika.

- Co państwo sobie życzą? Poderwała się, chwyciła w dłoń menu.

- Hmm... - Litery rozmazywały się, nic nie widziała. Nie miała okularów. Liznęła, że nie pasują do jej nowego wizerunku i schowała je do torebki. Kopciuszek nie nosił okularów. Zmarszczyła czoło, wbiła wzrok w kartę.

- Zaraz coś wybiorę...

- Pozwolisz, że ci doradzę? - usłyszała głos Cole'a. Jego twarz widziała wyraźnie. W oczach migotały psotne iskierki, lekki uśmiech błąkał się w kącikach ust.

Do diabła! Wszystkiego się domyślił.

- Co powiesz na befsztyki z polędwicy w sosie grzybowym? - Popatrzył w kartę, znowu podniósł wzrok. - Na przystawkę szparagi i firmowa sałatka z krewetkami. Na deser proponuję czekoladowy suflet z likierem Grand Marnier. Suflet chyba trzeba zamówić z wyprzedzeniem, prawda?

- Kelner potwierdził skinieniem głowy. Cole popatrzył na Eleanor pytająco. - Co ty na to? Odpowiada ci?

- Jak najbardziej. Ale befsztyki i deser?

- Nie psuj mi przyjemności. Po raz pierwszy dałaś się zaprosić. Muszę to wykorzystać. - Popatrzył na kelnera. - Czy panu też tak trudno namówić dziewczynę na wyjście do restauracji?

- Nie, proszę pana.

- Hmm. Ja wcześniej też nie miałem takich problemów. Dopiero ostatnio

- dodał, znacząco spoglądając w kierunku Eleanor.

Kelner uśmiechnął się szeroko.

- Teraz wiadomo, czemu zawdzięcza pani taką figurę. - Przesunął po niej spojrzeniem pełnym uznania. - Przepraszam - zreflektował się natychmiast. - Mam nadzieję, że nie weźmie mi pani tego za złe. Miałaby wziąć mu za złe? Jego podziw dodał jej skrzydeł. Błogosławiła w duchu tych, którzy dali kobietom nowoczesną bieliznę i szpilki. Machnęła niedbale dłonią.

- Ależ skąd!

Kelner odszedł, zabierając karty. Przez długą chwilę oboje milczeli. Wreszcie Cole postukał palcem w szklanekę z piwem.

- No to jak, dobrze się bawiłaś? - zapytał.

- Bardzo dobrze - potwierdziła. - To bardzo przyjem-

ne, gdy wszyscy są na twoje usługi, masują cię, czeszą, upiększają.

- Powinnaś sobie czasem fundować taki relaks.

- A ty? Chodzisz do takich salonów? - zapytała ciekawie, przygryzając wargę.

- Biorę masaże, od czasu do czasu. W biurze - odparł.

- W biurze?

- Ściągamy do siebie fachowców. Masaż, manikiur, takie rzeczy. W czasie lunchu czy przerwy. To dobrze wpływa na ludzi.

- Domyślam się - wybąkała. - I na szefów. Jesteś szefem, co?

- Nie jedynym. Mam współnika. Przetrawiała przez chwilę tę informację.

- Gdzie mieści się twoje biuro ?

- W Los Angeles.

Czekała na ciąg dalszy, lecz Cole milczał. Pokiwała głową i zapytała:

- To wielkie miasto. W jakim rejonie?

- Century City. Chyba nie chcesz rozmawiać teraz...

- Chcę - nie dała mu skończyć. Kilka lat temu była w Los Angeles z rodziną. Century City to prestiżowa lokalizacja, niedaleko Beverly Hills. Dzielnica nowoczesnych wieżowców. Położyła ręce na stole, - Czym się zajmujesz?

Rozejrzał się po sali, jakby gorączkowo szukając pretekstu do zmiany tematu. Nie odpowiedział od razu.

- Kupuję różne rzeczy - powiedział wreszcie. Początek został zrobiony.

Wstąpiła w nią nadzieja.

- Jakie rzeczy?

- Firmy.

- Ale jakie?

- Różne. Dowolnej branży, byle duże. Korporacje w podbramkowej sytuacji.

- To po co je kupujesz?

- Gdy duże kompanie wpadną w tarapaty, często bardziej się opłaca kupić je nie w całości, a skupować sukcesywnie. Różnica w cenie jest spora.

- Czyli kupujesz, żeby je dalej odsprzedać.

- Tak.

- Rozumiem. - Kiwnęła głową. - To mniej więcej tak, jak pan Limpet odsprzedał nasze kino. Pamiętasz je?

- Jasne. Niektóre filmy oglądałem tam po kilka razy. „Obcego” widziałem chyba ze trzy razy.

- Kiedyś z Teddym przesiedzieliśmy całą sobotę, oglądając maraton filmowy. Ale się wtedy objedliśmy popcornem! Było nam niedobrze. Cole roześmiał się gromko. Zrobiło jej się miło.

- Kilka lat temu pan Limpet postanowił przejść aa emeryturę: Myśleliśmy, że sprzeda kino. Ale niedaleko otworzyli multiplex i nikt nie chciał dać mu dobrej ceny. Wtedy pan Limpet sprzedał kino sieci barów szybkiej obsługi. Oni najpierw wyprzedali fotele kinowe, maszynę do popcornu i plakaty filmowe, a potem przerobili budynek na bar z hamburgerami.

W takim ujęciu brzmi to nawet nieźle, pomyślał. Ktoś na własne życzenie kończy działalność. Jednak rzeczywistość jest na ogół o wiele mniej przyjemna.

Sięgnął po papierosa, upił łyk piwa. To nie jest lekka i przyjemna konwersacja, jaką zaplanował. Ale też i jego Psorka nie jest dziewczyną, jaką pamiętał sprzed lat. W każ-

dym razie nie dzisiaj. Ponętna, zmysłowa, kusząca. Gdzie się podziała ta szczerza, otwarta istota, której obecność zawsze dawała mu ukojenie?

- Wystarczy o interesach - rzekł stanowczo, tonem wykluczającym sprzeciw. - Dziś jestem na wakacjach. - Poruszył się w fotelu, szukając wygodniejszej pozycji. - Jak się miewa Teddy? Ostatni raz, kiedy go widziałem, szykował się na obóz naukowy.

Jaki ujmujący jest ten jego uśmiech!

- Dobrze - odpowiedziała. Dwanaście lat temu Teddy z zapalem zgłębiał tajniki chemii. Całe kieszonkowe szło na składniki niezbędne do przeprowadzania doświadczeń. Właściwie, jeśli się nad tym chwilę zastanowić, cała rodzina Lippertów miała zacięcie naukowe. Poczynając od prapra-prababci Adele, która sama sporządziła drylownicę do śliwek i pokazała ją na targach stanowych. Od tamtej chwili była na ustach wszystkich. Za mąż wyszła późno. Za owdowiałego dentystę, którego poznała, gdy poszła usunąć ząb. Złamany, nomen omen, na pestce od śliwki. Miała wtedy trzydzieści jeden lat.

Eleanor zamyśliła się. Może wszystkim kobietom z ich rodu pisane jest późne zamążpójście. Gdy mają więcej lat niż ich rówieśnice, za to mniej zębów.

Kelner postawił przed nimi talerze z sałatką. Eleanor nadal była pochłonięta myślami. Skoro zależy jej, by Cole zobaczył w niej atrakcyjną kobietę, musi mu zademonstrować, że taką jest w istocie. Spojrzała na swój talerz i naraz ją olśniło.

W kinie pana Limpeta kilka razy widziała film „Tom Jones”. Jedna scena na zawsze utkwiała jej w pamięci. To

od niej się zaczęło. Niewinna kolacja stała się preludium do romansu. Oto rozwiązanie problemu!

Wyprostowała się w fotelu, przesunęła ręką po nowych lokach, dodając sobie otuchy. Długie kolczyki zakołysały się zalotnie.

Wyciągnęła rękę i dwoma palcami, jak szczypczykami, podniosła dużą krewetkę zdobiącą sałatkę. Różowa krewetka pięknie kontrastowała z koralowym lakierem paznokci. Eleanor uniosła dłoń w górę, odchyliła głowę i powoli, bardzo powoli, rozchyliła lśniące od błyszczyku usta.

Włożyła krewetkę... prosto w głębokie wycięcie dekoltu.

No cóż, na filmie wyglądało to zupełnie inaczej.

Poczuła, że policzki jej płoną. Dyskretnie zerknęła na Cole'a, by sprawdzić, czy to widział.

Patrzył prosto na nią.

Mimowolnie zgarbiła się. Przy tym ruchu poczuła, jak chłodna, śliska krewetka przesuwa się i ląduje w miseczce stanika.

Pośpiesznie się wyprostowała. Z pewnością jest mnóstwo sposobów wybrnięcia z takiej sytuacji. Jeśli tylko odpowiednio się skupi, zaraz wymyśli coś stosownego.

Celowo nie patrząc na Cole'a, z maksymalną nonszalancją, na jaką ją było stać, sięgnęła po widelec i zabrała się za jedzenie. Niby od niechcienia omiotła wzrokiem wnętrze sali, zatrzymując spojrzenie na pięknych antycznych lampach, staroświeckich tapetach, migoczących płomieniach pachnących świec...

- Eleanor.

Popatrzyła na swojego towarzysza. Cole przyglądał się jej z chmurną miną.

- Czy przypadkiem nie masz krewetki za dekoltem? Odłożyła widelec, sięgnęła po daiquiri. Pociągnęła łyk, odstawiła kieliszek i otarła usta serwetką.

- Owszem, mam.

I tyle. Nie będzie się wdawać w wyjaśnienia. Znowu zabrała się za jedzenie. Może właśnie lubi mieć krewetkę w staniku.

- Eleanor. - Cole dalej naciskał. Odłożyła widelec, westchnęła.

- Słucham?

- Czy mam udawać, że nic się nie stało?

- Tak.

Wzięła bagietkę i zaczęła smarować ją masłem. To był błąd. Bo nagle krewetka, teraz ogrzana i może dlatego bardziej śliska, zaczęła przesuwać się, jakby nagle ożyła.

Eleanor odłożyła bagietkę, odsunęła krzesło.

- Przepraszam na chwilę - rzekła, podnosząc się z miejsca. Cole powstał. Nie odezwał się, jedynie skinął głową.

Miał kamienną twarz, lecz zdradzały go lekko wygięte kąciki ust.

Rodzice od dziecka kładli jej w głowę, że nie trzeba mocnych słów, by wyrazić emocje. Tylko że nigdy nie byli w takiej sytuacji jak teraz ona.

W oczach Cole'a migotały wesołe ogniki. Spięła się jeszcze bardziej.

- To wcale nie jest zabawne. Popatrz na mnie. W życiu nie byłam tak wystrojona i wymalowana. Przez te obcasy o mało nie wybiłam sobie zębów. I na co mi to wszystko? Żeby hodować na własnym biuście krewetkę?

Rzuciła serwetkę na stół.

- Tylko nie waż się ze mnie śmiać! To twoja wina. To ty chciałeś, żebym się zmieniła. W dodatku przy pomocy twojej byłej dziewczyny! W trakcie tej przemowy Cole kilka razy chyba zamierzał uprzejmie coś wtrącić, lecz teraz zdumienie odebrało mu mowę.

- Co takiego? Przepraszam. Ja chciałem, żebyś się zmieniła? Ależ to wierutna bzdura...

- Wcale nie. - W cichości ducha wiedziała, że to on ma rację, ale była zbyt zdenerwowana i rozżalona, by zdobyć się na sprawiedliwy osąd.

- Ani przez chwilę tak nie było - stanowczo stwierdził Cole. Teraz i on się zdenerwował. - Chciałem tylko, byś miała przyjemny dzień i myślałem... - urwał.

- Co myślałeś? - Wsparła ręce na biodrach, ocienione sztucznymi rzęsami oczy rzucały gniewne blaski.

Zdawała sobie sprawę, że tylko szuka pretekstu, by go zaatakować. Za to, że nie padł na kolana z wrażenia, gdy ujrzał ją dziś po południu. Że natychmiast się w niej nie zakochał. I za to, że przez te wszystkie lata utrzymywał kontakt z Sue Ann, nie z nią. I że nigdy nie przestała go kochać.

Przez dwanaście lat wmawiała sobie, że Cole z nikim się nie kontaktuje, bo gdyby miał taki zamiar, odszukałby właśnie ją. Łudziła się, że któregoś dnia przypadkiem natkną się na siebie na ulicy, a wtedy spłynie na niego olśnienie... Marzenia, które nigdy się nie ziszcą.

- Co myślałeś? - powtórzyła, widząc jego wahanie. Nawet chciała, by powiedział coś przykrego. Może wtedy wreszcie dałaby sobie z nim spokój.

Cole rozejrzał się po sali. Siedząca w pobliżu młoda para

nie widziała poza sobą świata. Za to kierownik sali badawczo patrzył w ich stronę.

- Usiądźmy, proszę.

Tylko piśnij, że chciałeś mi pomóc. Powiedz, że nadal jestem dla ciebie drętwą szarą myszką, a już nigdy nawet o tobie nie pomyślę. Nigdy, przenigdy...

- Chciałem wyciągnąć cię na obiad. Użyłem podstęp.

- Cole potrząsnął głową, rozłożył ręce w geście poddania.

- Ciągle się opierałaś. Pomyślałem, że dasz się namówić, jeśli to będzie nauka zalotów. Poza tym kobietom podobno dobrze robi pójście do fryzjera, to poprawia im humor. Dlatego zadzwoniłem do Sue Ann, żeby cię umówić. To wszystko. - Jeszcze raz zerknął na salę, pochylił się ku Eleanor.

- Możemy usiąść? - zapytał, zniżając głos.

Widział, jak jej napięcie powoli ustępuje. Nawet najdoskonalszy makijaż nie mógł się równać z nieprawdopodobnym wyrazem jej oczu. To skrzące się gniewem, to łagodne jak jesienna mgiełka. Nie miał pojęcia, że jej nastrój potrafi tak błyskawicznie się zmieniać.

Na jej twarzy dostrzegł cień uśmiechu. Poczował mrowienie w środku. Za dużo się dzieje, przestaje panować nad sytuacją. Jedno, czego chce, to usiąść i w spokoju dokończyć obiad z Psorką, dziewczyną, którą zna od lat. Lecz nagle, sam nie wiedząc czemu, wystrzelił:

- Jesteś taka ładna.

Eleanor zamrugała powiekami, wlepiła w niego wzrok.

To dla niej zaskoczenie, uświadomił sobie ze zdumieniem. Czyżby nie wiedziała? Nikt jej tego wcześniej nie powiedział?

Jeszcze większym szokiem była przejmująca radość, jaka

go ogarnęła. Na myśl, że jest pierwszym, dzięki któremu tak zabłysły jej oczy.

- Dziękuję - powiedziała cicho, po chwili wahania. - Ty też, Cole.

Powiedziała to szczerze, prosto z serca. Nie oczekiwała komplementów, nie certowała się.

Zrozumienie niemal zbiło go z nóg. I choć już tyle w życiu doświadczył, nieoczekiwanie zabrakło mu słów. Poczul się jak żółtodziób.

Tylko raz, w pierwszej klasie podstawówki, doznawał podobnych uczuć.

Ukradkiem wsunął do kieszeni różową gumkę należącą do ich pięknej wychowawczynie, w której zakochał się na zabój. Świadomość, że ma w kieszonce jej gumkę, uszczęśliwiała go.

Któregoś dnia gumka wypadła mu niechcący. Zaprzeczył, gdy pani Christenberry wprost zapytała, czy ją zabrał. Wiedziała, że skłamał, lecz nie naciskała. Darowała mu. Nadal mógł być jej pupilkiem.

Wtedy niewiele brakowało, by wybuchnął płaczem. Szarpało nim tyle uczuć, że nie wiedział, czy paść nauczycielce w ramiona, czy uciec z klasy i już nigdy nie wrócić.

Teraz potrafił lepiej panować nad emocjami, jednak sytuacja go przerastała.

- Zaraz wracam. - Eleanor odwróciła się i ruszyła do łazienki. Szła ostrożnie, bezwiednie kołysząc się lekko na swych niebotycznych obcasach. Odprowadził ją wzrokiem, coraz bardziej zasepiony.

Opadł na krzesło, oparł łokcie na stole i ukrył twarz w dłoniach. Ten zwyczajny wieczór nagle ogromnie się skomplikował.

Plama nie dawała się sprać. Trudno, nic nie poradzi. Jeszcze raz spróbowała potrzeć ją papierowym ręcznikiem. Serce ciągle biło jej jak szalone. Nabrała powietrza, by się uspokoić.

Wystarczyło przypomnieć sobie jego słowa, a znów ogarniał ją radosny niepokój. Czy to znaczy, że dzisiejszy wieczór coś między nimi zmienił? A jeśli tak, to co?

Wróciła na salę. Cole podniósł się, wsunęła się na swoje miejsce. Na wszelki wypadek, by nie zdradzić targających nią emocji, niemal się nie odzywała. W milczeniu jadła sałatkę. Tym razem widelcem. Cole rozprawiał na temat jedzenia, turystów tłumnie odwiedzających latem Oregon, zabawnie opowiadał, jak Sadie w środku nocy wskakuje mu do łóżka.

Odpowiadała półsłówkami. Młoda para, siedząca przy stoliku obok, przyciągnęła jej uwagę. Byli tak wpatrzeni w siebie, że kelner podchodził trzy razy, by przyjąć zamówienie. Dziewczyna pieszczotliwie przesuwiała dłonią po przedramieniu męża, on nie odrywał od niej zachwyconego wzroku. Kelner przyniósł szampana. No tak, świeżo upieczeni małżonkowie, pomyślała. To wszystko wyjaśnia.

Cole w ogóle nie zwrócił na nich uwagi. Jasne, dla niego to nic nowego. Swoje przeżył. Lecz dla niej to było coś fascynującego.

Dziewczyna zsunęła pantofel, dotknęła stopą kostki chłopaka. Może nieświadomie, może celowo. W każdym razie w tym gościu było tyle uwodzicielskiego czaru, że Eleanor patrzyła jak zahipnotyzowana.

- Coś się stało? - usłyszała pytanie Cole'a.

- Słucham? - Odłożyła na talerz kawałek bagietki, wytarła palce w serwetkę. - Nie, nic. Zamyśliłam się.

Kelner przyniósł befsztyki. Cole uśmiechnął się. Wszystko idzie jak należy. Niezobowiązująca rozmowa, miła atmosfera. Pięknie wyglądająca połówka. Zapowiada się udany wieczór.

- Jak twój befsztyk? - zapytał z uśmiechem.

- Świetny - odparła, choć jeszcze go nawet nie tknęła. Odkroiła plasterk. - W sam raz.

- Cieszę się. - Uśmiechnął się i sięgnął po czerwone wino. - Nad czym się zastanawiasz? - Upił łyk merlota. Nabił na widelec kawałek mięsa i grzybka, umoczył w apetycznie wyglądającym sosie.

- Zastanawiam się - położyła ręce na stole - czy trudno się skoncentrować, gdy człowiek regularnie uprawia seks?

Omam się nie udławił. Pośpiesznie sięgnął po wino.

- Skąd ci to przyszło do głowy - wymamrotał.

- Po prostu jestem ciekawa. - Zaczęła kroić befsztyk. - To chyba naturalne.

Przełknęła pierwszy kęs, lecz z wrażenia nawet nie poczuła smaku. Serce biło jej jak szalone. Teraz ma szansę, wprowadzie niewielką, lecz jednak, by Cole zobaczył w niej kobietę.

- Widzisz tę parę? - Dyskretnie skinęła na siedzących obok. - Obserwowałam ich. Nie mogą przestać się dotykać. Założę się, że gdybyś teraz podszedł i powiedział, że wygrali milion na loterii, nawet by to do nich nie dotarło. - Potrząsnęła głową, ugryzła kawałek szparaga. - Nigdy w życiu nie byłam czymś aż tak pochłonięta. A bardzo bym

chciała. - Uśmiechnęła się. - Bardzo! - Popatrzyła na niego przeciągle. - Ty pewnie świetnie to znasz.

Nieśpiesznie zanurzyła kawałek polędwicy w sosie, potem podniosła do ust.

- Hmm, pyszne. Więc jak, znasz to? Zapomniał o jedzeniu. Wbił w nią wzrok.

- Co znam?

- Taki stan. Pewnie często ci się zdarza. Zniżył głos, by poza nią nikt go nie słyszał.

- Eleanor, pytasz mnie, czy często uprawiam seks? Wbiła widelec w kawałek grzybka. Popatrzyła na Cole'a przeciągle.

- Uhm.

Przesunął dłonią po twarzy, zamruczał coś niezrozumiale.

- Czy to ma coś do rzeczy?

- Raczej tak. - Zdumienie malujące się na jego twarzy wprowadziło ją w uniesienie. - Nie zapominaj, że dla mnie to nieznaną ład. Nie mam pojęcia, czego się spodziewać, gdy już zrobię pierwszy krok i pójdę na całość. Czy to się jakoś odbije na mojej pracy? Będę bardziej skoncentrowana, czy może mniej? - Zmarszczyła czoło. - A może w ogóle zabraknie mi czasu na pracę? Może powinnam zatrudnić jeszcze jednego weterynarza?

Nabrał powietrza, znieruchomiał.

- Nie będzie ci potrzebny drugi weterynarz.

- Hmm. - Udała, że rozważa jego słowa. - To nie jest takie pewne.

Wczoraj wieczorem czytałam trochę na ten temat. Podobno kobieta w moim wieku dopiero osiąga szczyt potrzeb seksualnych. Jak widzisz, sporo straciłam. Dlatego podjęłam decyzję.

Złożył dłonie, oparł na nich brodę.

- Jaką decyzję?

- Na mój pierwszy raz muszę znaleźć kogoś znacznie młodszego.

Wlepił w nią wzrok. Nawet nie zamrugał. Jakby nie wierzył własnym oczom.

- Znacznie młodszego?

- Tak. Jeszcze dokładnie nie wiem, ile powinien mieć lat, w każdym razie musi mieć dobrą kondycję. Zgodnie z twierdzeniem Kerna, po

skończeniu trzydziestki sprawność seksualna mężczyzny ulega

obniżeniu. Zresztą pewnie sam o tym wiesz. - Przymrużyła oczy. -

Dobrze się czujesz? - Odłożyła widelec. - Kiedy ostatnio mierzyłeś sobie

ciśnienie? - zapytała bardziej oficjalnym głosem, z lekarską troską. -

Zrobiłeś się trochę czerwony.

- Nic mi nie jest! - prychnął. - Kto to jest, ten Kern? Zagryzła wargi.

Żeby sama wiedziała! Wymyśliła go na

poczekaniu.

- To chyba socjolog. - Wyciągnęła rękę, poklepała Cole'a po

przedramieniu. Dotyk ciepłej, porośniętej włoskami skóry sprawił, że na

ramionach poczuła gęsią skórę. - Nie denerwuj się. To tylko taka

teoria. Poza tym ty ledwie co przekroczyłeś trzydziestkę.

Cofnęła dłoń, ujęła widelec.

- Chociaż Kern zgromadził ogromny materiał i świetnie to udokumentował.

- Przestań już z tym Kernem!

- Dobrze. - Zerknęła na niego spod rzęs. Cole przyciskał palce do czoła.

Gdyby nie bawiła się tak dobrze, może by nawet... miała wyrzuty

sumienia. - Chodziło mi tylko

o twoje ciśnienie - dodała, przyglądając się, jak sięga po sztucce.

Widelec uderzył o talerz.

- Nie mam problemów z ciśnieniem - wycedził, starannie akcentując każde słowo. - A przynajmniej nie miałem, póki nie przyjechałem do Oakdale. Moja kondycja też jest bez zarzutu. - Zwęził oczy. - Aż do tej chwili nie zdawałem sobie sprawy, że mnie zwodzisz. Bo tak właśnie było, prawda, Eleanor?

Już miała zaprzeczyć, lecz zrezygnowała. Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Tak. Wyglupiałam się.

Zdumienie zamieniło się w pełen podziwu uśmiech. Znowu poczuła gęsią skórę na ramionach, choć teraz go nie dotykała.

- Świetnie, Psorko. Wiedziałem, że jesteś dobra z matematyki, lecz nie miałem pojęcia, że bawią cię takie gierki.

Zrobiła minkę niewiniątka.

- Czy to coś złego? - zapytała z obłudnym zdziwieniem. Do tej pory nawet nie wiedziała, że tak potrafi.

Dla Cole'a to też było pełne zaskoczenie. Jego wiotka Eleanor naraz stała się całkiem inną dziewczyną. A te jej oczy, teraz bez okularów, ogromne, pełne blasku! I ten nieśmiały uśmiech.

Zupełnie jakby świat przekręcił się do góry nogami. Czy ona nie wie, jak działa takie połączenie słodkiej niewinności i zmysłowości? Czy sądzi, że każdy facet przedłoży jej potrzeby nad swoje pragnienia?

I jeszcze ta inteligencja, naturalność, urzekająca niewin-

ność. Można tylko pozazdrościć szczęściarzowi, który pokaże Eleanor, czym jest prawdziwa miłość...

- Będziesz jeszcze jeść? - zapytał zmienionym głosem. Popatrzyła na swój talerz.

- Tak. - Nabiła na widelec czubek szparaga. - Chociaż czuję się trochę...

- Nie za dobrze?

- Uhm.

Popatrzył na swoją porcję. Też stracił apetyt.

- Musi być coś w powietrzu - wymamrotał. Nie oponowała, gdy zaproponował powrót do domu.

W niedzielny wieczór na autostradzie niemal nie było ruchu. Eleanor miała nadzieję, że w drodze powrotnej rozmowa zejdzie na bardziej osobiste tory, jednak Cole chyba w ogóle nie zamierzał się odezwać. Z każdą chwilą stawał się coraz bardziej odległy. Gorączkowo szukała w myślach dobrego tematu. Nagle przez rytmiczny szum silnika zaczął przebijać się jakiś nowy dźwięk. Samochód zakołysał się, Cole mocniej chwycił za kierownicę. Po chwili zaklął pod nosem.

- Złapaliśmy gumę - wymamrotał.

Zjechał na pobocze. Wysiadła zaraz za nim. Skuliła się, czując chłód na nagich ramionach i nogach. Gęstniejącą ciemność rozpraszały światła z rzadka przejeżdżających aut. Na niebie migotały gwiazdy, a księżyc oblewał szosę srebrzystym blaskiem.

Cole pochylił się nad tylnym lewym kołem. Gdy skończył oględziny, wyprostował się i otrząsnął dłonie z piasku. Popatrzył na Eleanor.

- Wiesz coś o zmienianiu kół? Zamrugła ciężkimi od tuszu rzęsami.
 - Zupełnie nic! Czy ty...
 - Nie martw się, potrafię zmienić koło - zapewnił. -Pomyślałem tylko, że też powinnaś się tego nauczyć. Już zapomniałem, jak często tejsze drogi są całkiem puste. Co wiesz o samochodach?
 - Ze nie pojedą bez benzyny. Cole popatrzył na nią poważnie.
 - Przypomnij mi, żebym do naszej nauki dołączył podstawowe informacje na temat obchodzenia się z samochodem. - Otworzył bagażnik i zaczął wyciągać jakieś narzędzia. Nie była teraz w nastroju, by się z nimi bliżej zapoznawać. - Nie chciałbym, byś kiedyś znalazła się w podobnej sytuacji, zupełnie bezradna.
 - Mam komórkę.
 - Gdzie?
 - W domu.
- Nie skomentował, tylko uniósł brew.
- A gdzie ty masz swoją? - zaatakowała. Położył narzędzia na ziemię. Nie patrzył na nią.
 - Została w domu. Nie chciałem, by dziś mi zwracano głowę. Skrzyżowała ramiona, uśmiechnęła się kpiąco.
 - Nici ze sprawności harcerza-komórkowca.
 - Za to dostanę odznakę za zmianę koła. Poszedł do bagażnika po zapasowe koło.
 - Wsiądź do samochodu. Trzęsiesz się z zimna - zauważył.
 - Nie, nie jest tak źle - skłamała. - Lepiej postoję i po-

patrzę, jak to się robi. To będzie pełne zaskoczenie, jak się z kimś umówię i okaże się, że znam się na takich rzeczach, co?

Cole zwęził oczy. Podniósł się, podszedł bliżej.

- Psorko - rzekł, obrzucając ją spojrzeniem od stóp do głów. - Nie musisz znać się na narzędziach, by zrobić wrażenie. Masz inne walory.

Zdjął marynarkę i delikatnie okrył ramiona Eleanor.

- Przecież będzie ci zimno - zaproponowała.

- Rozgrzeję się przy pracy. Jeśli na pewno nie chcesz wsiąść do środka, to może poświecisz mi latarką?

Kiwnęła głową, wzięła latarkę i skierowała jej światło na koło i zręczne dłonie Cole'a.

- Co to jest? - zapytała.

- Klucz - odparł, nie przestając odkręcać śrub.

- Aha. Pamiętam, jak kiedyś Teddy się wściekał, że ma beznadziejny klucz.

Cole roześmiał się. Był w coraz lepszym nastroju.

- Tak bywa - potwierdził.

Eleanor skinęła głową. Z fascynacją przyglądała się grze mięśni widocznych pod cienką koszulą Cole'a. Napinał je, by odkręcić oporną śrubę.

- Możesz poświecić bardziej w lewo? Och, zobacz! -skrzywił się.

- Co się stało?

Odłożył klucz, wyciągnął do góry ręce.

- Zapomniałem, że to taka brudna robota. - Przysłonił twarz ramieniem, by światło latarki nie raziło go w oczy. - Możesz jeszcze coś dla mnie zrobić?

Potwierdziła skinieniem głowy.

Cole powstał z ziemi.

- Rozepnij mi mankiety. Mam ręce w smarze, a nie chcę wybrudzić całej koszuli.

Zmieszała się. Nie miała pojęcia, co zrobić z latarką. Cole wyjął jej latarkę z rąk i postawił na dachu auta.

- Przecież przeprowadzasz skomplikowane operacje -rzekł, widząc jej wahanie.

Potwierdziła skinieniem głowy.

- Więc nie powinno być żadnego problemu.

Czuła, że policzki jej płoną. Całe szczęście, że było ciemno. Wzięła się w garść. Delikatnie rozpięła guziki.

- Dziękuję. - Opuścił wyciągnięte ręce. Serce biło jej jak szalone.

- Teraz rozepnij przód, jeśli możesz.

- Przód? - W uszach tak jej szumiało, że nie była pewna, czy dobrze go usłyszała.

- Tak. Inaczej trudno będzie ją ściągnąć.

Zrobił krok ku niej, ona też podeszła bliżej. Czując na sobie jego wzrok, ostrożnie zaczęła rozpinać guziki. Palce jej drżały. Starła się nie pokazać po sobie wrażeń, jakie wywierała na niej ta prosta czynność. I jednocześnie zapamiętać z tego jak najwięcej.

Odurzał ją jego zapach. Męski, prowokacyjny, zmysłowy. Zakręciło się jej w głowie.

Czuła pod palcami ciało twarde jak skała, i nagle ogarnęła ją piekąca zazdrość o wszystkie kobiety, z jakimi przez te lata się spotykał.

Już nie było jej zimno. Marynarka chroniła przed chłodem. Szybko rozpięła pozostałe guziki.

Zacząła wyciągać przód koszuli ze spodni. Cole podniósł

ręce, by ułatwić jej zadanie. Na samą myśl, jak mała odległość ich teraz dzieli, wirowało jej w głowie.

Cole patrzył na nią z napięciem. Delikatne dotknięcia, jak muśnięcie motyla. Zaciśnął zęby. Co się z nim dzieje? Jego Psorka przeobraziła się w zmysłowego wampa. Ledwie nad sobą panował. Te jej leciutko rozchylone usta, zachwycająca niepewność malująca się na buzi. Pokusa wręcz nie do pokonania...

Chrząknął. Ona tak mało wie na temat mężczyzn, że może tylko wpakować się w kłopoty. Sposepniał.

- Dzięki - wymamrotał, wskazując na koszulę. Cofnął się nieco. Oboje muszą pamiętać, czego jej trzeba. Trwałego związku.

Pochylił się nad kołem. Eleanor poświeciła mu latarką. Przez chwilę pracował w milczeniu, wreszcie przemówił.

- Wiesz, to zdarzenie nasunęło mi pewne skojarzenia

- rzekł niby mimochodem. - Że między samochodami i ludźmi istnieje bardzo duże podobieństwo.

- Słucham? - Miała zmieniony głos. To sprawiło mu satysfakcję, choć nie chciał się do tego przyznać.

- Uhm. - Z ożywieniem podkładał podnośnik. - Ruszasz w drogę, jedziesz i nagle bęc! Łapiesz gumę. Musisz zjechać na bok, naprawić samochód lub wezwać pomoc. Tracisz dwa razy więcej czasu, niż zaplanowałeś na podróż.

- Samochód płynnie unosił się w górę. - Zaczynasz zastanawiać się, czy można było temu zapobiec i dochodzisz do wniosku...

- Jakiego?

- Ze przed jazdą trzeba było sprawdzić koła. - Zaczął wyciągać śruby. - Łapiesz, o co chodzi?

Nie odpowiedziała od razu.

- Ze powinnam najpierw sprawdzić opony? Podniósł głowę i zamrugał, porażony światłem latarki.

- Nie. To była tylko analogia, Do związków z ludźmi. Nie można zanadto się śpieszyć. Do tego zmierzałem.

Milczała. Zmarszczył czoło. Jej bliskość działała na niego rozpraszająco. Może nie wyraził się wystarczająco jasno?

- Podam ci inny przykład.

- Słucham.

- No więc założmy - zaczął, nie przerywając pracy - że musisz wybrać się w podróż, a nie masz samochodu. Idziesz go kupić. Powinnaś zajrzeć pod maskę, to bardzo ważne. Nie można kupować kota w worku. Musisz mieć pewność, że samochód sprawdzi się na długiej trasie, nie tylko w pobliżu domu.

Przez chwilę przetrawiała jego słowa.

- A jeśli zamierzam jeździć tylko wokół domu?

- Nie! - Poderwał się i dla lepszego efektu wycelował w nią palcem. - Wybierasz się w daleką drogę i musisz mieć pewne i bezpieczne auto. Krew się w niej wzburzyła. Teraz jego przesłanie było wystarczająco jasne. I wynikający z niego wniosek - znowu widzi w niej grzeczną dziewczynkę, a nie ponętą młodą kobietę. Kobietę, która budzi pragnienia.

Wzięła się pod boki:

- A może wcale nie zamierzam kupować samochodu. Może chcę tylko zaliczyć jazdę próbną.

- Posłuchaj...

- Ja też mogę pozwolić sobie na analogię - przerwała mu, mierząc go gniewnym spojrzeniem zwężonych oczu.

- To nie jest żadna analogia.
- Daj sobie już z tym spokój ! Domyślam się, jak bym wyglądała po wyjściu z salonu piękności, gdyby to zależało od ciebie. Jak Jacqueline Kennedy: spódnica za kolana, perełki na szyi. - Machnęła ręką wokół głowy. - Kapelusik.

Przypomniał sobie kwiecistą sukienkę leżącą na tylnym siedzeniu.

- Ona wszystkim bardzo się podobała.

- Powoli zaczynam cię rozumieć - powiedziała z namysłem. - Chcesz, żeby wszystko było uładzone, bez żadnych skrajności czy fantazji.

- Co w tym złego?

- To jest dobre podejście, ale nie do życia. Bo w życiu wszystko się zmienia, wszystko jest w pędzie. Ludzie też nie są ciągle tacy sami. Ty widzisz we mnie dziewczynę z klasy, Psorkę. Tak było i będzie. Ale gdzieś tam - wskazała ręką na spowitą ciemnością autostradę - jest mężczyzna, dla którego będę... babeczką.

Jego wahanie trwało jedno mgnienie.

Zapomniał, że ma palce wymazane smarem. Położył dłoń na karku dziewczyny, zanurzył palce w jej miękkich włosach. Drugą ujął policzek i delikatnie uniósł jej głowę. Zdumienie, jakie ją ogarnęło, pierzchnęło, gdy poczuła jego usta na swoich.

To było jak szept, jak tchnienie wiosennego wiatru... aż poczuł, że jej opór słabnie, że z drżeniem i radością poddaje się pieszczocie.

Latarka upadła na ziemię. Eleanor zarzuciła mu ręce na szyję, marynarka ześlizgnęła się z jej ramion. Wstrząsnął

nim dreszcz. Jej bliskość była czymś niewyobrażalnym, cudownym. Nie mógł już dłużej walczyć ze sobą.

Przygarnął ją mocno, przesunął ręką po jej szczupłym ciele. Upajał się nią, dotykiem jej skóry, smakiem ust.

Nawet nie spostrzegli, że jakieś auto zjeżdża na pobocze. Zazgrzytał żwir, trzasnęły drzwiczki. Ktoś skierował na nich światło latarki.

- Hej! - W ciemności rozległo się wołanie. Sądząc po głosie, był to starszy pan. - Zobaczyliśmy z żoną wasz samochód. Czy coś się stało?

Czy... potrzebujecie pomocy?

Eleanor odskoczyła od Cole'a. Zamrugnęła, oślepiąca światłem. Cole obejmował ją w obronnym geście. Widziała, że z trudem wraca do rzeczywistości.

- Zapomniałem, że ludzie w tych stronach są bardzo życzliwi - wymamrotał.

- Ja też - szepnęła. Przełknęła ślinę, przesunęła językiem po nabrzmiąłych ustach.

Przez chwilę wpatrywał się w nią z napięciem. Odwrócił się i krzyknął:

- Złapaliśmy gumę! Nic poważnego.

- Pewnie wjechaliście na gwóźdź. - Starszy pan podszedł bliżej, poświecił latarką na samochód. - Może zadzwonić po pomoc? Zawsze z żoną mamy przy sobie komórkę, na wszelki wypadek.

Cole już miał podziękować, gdy jego wzrok padł na Eleanor. Wydawała się odurzona. Patrzyła na niego tak, że najchętniej nie przyjąłby propozycji, tylko został z nią sam na sam. Tylko oni i ciemność.

Być może był to jej pierwszy prawdziwy pocałunek. Na tę myśl przepełniła go tkliwość, czułość nabrzmiąła słodyczą

i tęsknotą. Uczucia, jakich nie doświadczał, jakich nie znał. Jeszcze chwila, a zapomni, po co tu przyjechał, albo w ogóle zrzuci swoją misję. Bo intuicyjnie wie, że nie może mieć jednego i drugiego. Albo Eleanor, albo zemsta.

Wpatruje się w niego tak żarliwie. Za kilka tygodni nie będzie tak patrzeć. Jeśli w ogóle zechce na niego spojrzeć.

Kłębiły się w nim sprzeczne myśli, czuł się rozdarty.

- Bardzo dziękuję. - Kiwnął głową do mężczyzny. - Jeśli można, to bardzo chętnie skorzystam.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nie był do końca szczery, gdy wyjaśniał Eleanor, czym się zajmuje. Nieco naciągnął prawdę. Rzeczywistość była bardziej złożona i mogła skłaniać do pytań natury moralnej. Jego rolą było wyszukiwanie firm w dramatycznej sytuacji finansowej, przejmowanie ich, dzielenie na mniejsze przedsiębiorstwa i odsprzedawanie z dużym zyskiem. Działalność przynosząca ogromne profity i bardzo wciągająca.

Zaraz po studiach zaczął pracować w firmie Manuth, Larson i Clark. Dość szybko jeden ze wspólników przeszedł na emeryturę i wyprowadził się na Florydę, drugi przeniósł się do prestiżowej kompanii z tej samej branży. Powstała nowa firma Clark-Sullivan. Przed Cole'em otworzyły się drzwi do kariery.

W zależności od tego, kto się o nim wypowiadał, charakteryzowano go jako uroczonego, przekonującego, bystrego lub bezlitosnego. Kiedyś na bankiecie wydanym z okazji przejęcia fabryki tekstylnej ktoś celnie zauważył, że kolejny sukces Cole zawdzięcza temu, że jest człowiekiem bez serca.

Powtórzono mu tę uwagę, a ona przypadła mu do gustu. Musi być taki, jeśli chce piąć się w górę. A chce.

Przypalił papierosa, zapatrzył się na błękitne niebo. Popołudniowe światło nadawało obłokom złocistoróżowy poblask. Zaciągnął się. Przez papierosowy dym przebijał inny,

znajomy zapach. To w bliźniaczych domkach po drugiej stronie ulicy gotowano obiad.

Oparł się o samochód, w zamyśleniu obserwując dwóch chłopców przecinających ulicę. Kłócili się zażarcie, który z nich przejedzie się zdezelowanym rowerem. Sprzeczka umilkła, gdy jednego matka zawołała do domu, by odrabiał lekcje.

Popatrzył na zegarek. Za dziesięć piąta. Dzienna zmiana w zakładach Orly kończy się o czwartej trzydzieści. Jak na komendę na ulicy zaczęły pojawiać się samochody. W większości stare, wysłużone pudła, które już dawno nadawały się na złom. Wjeżdżały na porośnięte zielskiem podjazdy.

Po kilku minutach senna uliczka tętniła życiem. Trzaskały drzwi, ludzie mówili głośno, biegały wypuszczone z domów psy. Wszystko tak jak pamiętał. Ulica Rzeźnicza pulsowała rytmem mieszczących się w pobliżu zakładów. Do Orly należały domy, w których kwaterowano pracowników. Całe życie mieszkających tu ludzi było całkowicie podporządkowane fabryce.

Po drugiej stronie, nieco dalej, zatrzymał się stary zielony oldsmobile. Cole stał się czujny. Serce mu zabiło. Wyprostował się, rzucił na ziemię papierosa i przygniół niedopałek obcasem.

Drzwi otworzyły się, pasażer trzymający w ręku blaszane pudełko na drugie śniadanie, wysunął się z samochodu. Postukał w szybę na pożegnanie i ruszył w kierunku jednego z bungalowów.

Wysoki, masywnie zbudowany. Jak Cole, tylko znacznie od niego cięższy.

Jack Sullivan podszedł do wejścia, wyjął z kieszeni klu-

cze. Nadal jeździ do pracy z kolegą, bo „benzyna kosztuje”. Nic się nie zmieniło.

Cole skrzywił się w duchu. A niby czego mógłby się spodziewać? Że ten, który zatruł mu młodość, nagle przejrzał na oczy? To nie wchodzi w grę.

- Proszę pana, to pana samochód?

Cole odwrócił się. Dwóch chłopaczków błyszczącymi oczami wpatrywało się w lśniące bmw.

- Mój - odparł z roztargnieniem i znowu popatrzył na stojącego na ganku ojca. Nieoczekiwanie ogarnęło go dzikie pragnienie, by zawołać go, nim wejdzie do środka. Zaskoczyło go to. Poczował pot na czole.

- Chłopie, ale bym chciał mieć taką brykę! - z uniesieniem powiedział jeden z chłopców. - Nowiutka, cała czarna.

- Ciekawe, skąd ją weźmiesz? Chyba że ukradniesz - ostudził go drugi. - W życiu nie będzie cię stać na taki drogi wóz!

- Będzie, zobaczysz.

- Akurat.

- Proszę pana, ile trzeba zarabiać, żeby sobie kupić taki samochód?

- Słucham? - Był pochłonięty obserwacją. Jack wszedł do domu. Pod Cole'em uginały się nogi. Powoli odwrócił się do chłopców. - O co pytałeś?

- Ile trzeba zarabiać, żeby sobie kupić taką maszynę? Przez moment nie odpowiadał. Pytanie nie było grzeczne.

- Więcej niż można zarobić, pracując w Orły.

- To prawda. - Wyższy chłopiec poważnie kiwnął głową. - Nasi ojcowie tam pracują. A pan gdzie?

Wołał nie odpowiadać wprost. Zamiast tego zapytał:

- Czyimi jesteście dziećmi?

- Mój tata nazywa się Dustin Frank.

Cole'owi to nazwisko nic nie mówiło. Popatrzył na mniejszego chłopca.

- Mój tata nazywa się William Kimm - odparł. - Jestem William Kimm junior.

Bill Kimm.

- Mieszkacie gdzieś tutaj? - zapytał syna Billa.

- W tamtym domu. - Wskazał na drugą stronę ulicy. Cole zmeł pod nosem przekleństwo. Jako młody chłopak

Bill tak dobrze się zapowiadał. Był świetnym sportowcem, dobrze się uczył. I tak marnie skończył. Jak to się stało? Dałby głowę, że on się stąd wyrwie, że się wybije. Bill junior popatrzył na niego ciekawie.

- Pan zna mojego tatę?

Przyjrzał się chłopcu uważnie. Sądząc po wieku, pewnie urodził się niedługo po tym, jak Bill skończył szkołę.

- Kiedyś go znałem, dawno temu. Masz rodzeństwo?

- Mam siostrę. A za parę miesięcy mama urodzi dzidziusia. Chce pan do nas pójść i zobaczyć się z moim tatą? Mógłby mu pan pokazać swój samochód.

Poczuł, że żołądek zaciska mu się jeszcze bardziej). Mimowolnie zerknął na swój dawny dom. Ojciec opuścił żaluzje w salonie. Cole zamrugał, popołudniowe słońce raziło go w oczy. Rozluźnił krawat, rozpiął guzik pod szyją.

Przyjechał tu prosto ze spotkania z zarządem Orły. Jeszcze miał na ustach słodki smak zwycięstwa. Po wykryciu w zapakowanych produktach bakterii coli, zakłady Orły znalazły się na krawędzi. Na taką chwilę czekał od lat. Wreszcie się doczekał.

Dla firmy Clark-Sullivan to doskonała okazja, by zrobić świetny interes. Dla Cole'a ma to jeszcze inny, osobisty wymiar. Nie chodzi mu w tym momencie o pieniądze. Kupując zakłady w całości, łącznie z należącymi do nich terenami i gruntami, zyskuje wyłączną władzę. Gdy tylko umowa się uprawomocni, zacznie dzieło zniszczenia.

- To chce pan?

Głos chłopca przywołał go do rzeczywistości. Popatrzył na jego dziecienną twarzyczkę.

- Ale czego mam chcieć?

- Przyjść do nas i zobaczyć się z moim tatą. Na pewno poczęstują pana obiadem.

- Nie - potrząsnął głową. Nie ma ochoty widzieć Billa, tym bardziej chwalić się „bryką”.

Poczuł gorycz w ustach. Obaj chłopcy patrzyli na niego badawczo. Pomyślał o Billu i o dziecku, które wkrótce przyjdzie na świat. Znowu skurcz w żołądku. Za kilka miesięcy, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, ich życie zmieni się nie do poznania. Zakłady zostaną zamknięte. Bill, podobnie jak reszta pracujących za psie pieniądze robotników, zostanie bez pracy.

Przez moment koniecznie chciał powiedzieć coś temu małemu, choć nie miał pojęcia co.

Nie miał pomysłu. Wreszcie odwrócił się i wszedł do samochodu.

Nasunął na oczy ciemne okulary, włączył silnik, wrzucił jedynkę. Czuł na twarzy kropelki potu. Wyjechał z zatoczki, minął niewielki domek ojca. Ojciec sprytnie wyczekał na właściwy moment i dostał go jako brygadzista. Nieoczekiwanie pamięć przypomniała mu jego słowa:

- Odłóż te książki, bo zaraz je wyrzucę! Chuck McKin-

ney skarżył się, że wczoraj wieczorem znowu się spóźniłeś do fabryki...
Któregoś wieczoru ojciec zatrzymał go, gdy Cole już był na progu.

- Dokąd to się wybierasz?

- Gramy w baseball. Mamy w szkole...

- Nieważne, co macie w szkole. Nigdzie nie pójdziesz. Trzeba skosić trawnik przed domem, a potem Chuck ma dla ciebie zlecenie na kilka dodatkowych godzin w zakładzie... Jasne?

Jakby nie było dość, że pracował na nocną zmianę. Na naukę nigdy nie było czasu. Ważniejszy był trawnik, choć należące do Orły domki już dawno domagały się remontu. Zakładów to nie obchodziło. Ale Jack nie dał słowa powiedzieć na Orły. To było jego życie, sens egzystencji.

Jedyne jasne chwile zawdzięczał mamie, lecz z biegiem lat i ona przygasła. Nie zaznała prawdziwej radości, nie dostała nic dobrego od życia. Mogłaby żyć, gdyby nie Jack i jego uparte przekonanie, że nie potrzeba jej kardiologa, że wystarczy lekarz opłacany przez Orły. Gdyby poszła do dobrego specjalisty...

Zagryzł usta. Tyle poświęcenia i cierpień w imię firmy, która przez miesiące negocjacji nawet się nie zająknęła na temat osłon dla pracowników. Zabrać pieniądze i w nogi, to było wszystko, co interesowało zarząd i radę nadzorczą. Dokładnie tego się spodziewał. Wkrótce Jack i cała reszta znajdzie się na lodzie. Nie będzie złotych zegarków przy przejściu na emeryturę. Co najwyżej zdawkowe podziękowanie.

Za to on osiągnie swój cel.

Nic, czego dokonał, nie znalazło uznania w oczach ojca. Dla Jacka rodzina się nie liczyła. Jego jedyną miłością były zakłady. Miłością bez wzajemności. Teraz pozostanie z niczym, jego życie straci sens. Co do innych, którzy na własnej skórze odczują konsekwencje... Paliło go w żołądku. Może zmobilizują się, wezmą swój los we własne ręce i jeszcze im to wyjdzie na dobre. Może z czasem, gdy przejmie pełną kontrolę, wypracuje system rekompensat dla byłych pracowników? Choć wątpliwe, by Bill Kimm i jego rodzina docenili taki gest.

Wyjechał z peryferii, odetchnął głębiej.

Jak dobrze wiedzieć, że może się schronić w domu nad jeziorem! Świadomość, że ma dom cztery razy większy niż ten, w którym się wychował, zawsze napawała go zadowoleniem i dumą. Podjechał pod wejście, ruszył obsadzoną różami alejką. Nie czuł satysfakcji. Paliło go w środku. Jak przed laty, gdy dokuczały mu wrzody żołądka. Otworzył lodówkę, wyjął karton mleka i upił potężny łyk. Lecz zamiast ulgi ogarnęło go poczucie gorzkiej ironii. Zatoczył pełne koło... jednak wcale nie czuł się spełniony.

I podświadomie dręczyło go trudne do wyjaśnienia przeczucie, że klęska ojca oznacza katastrofę również dla niego.

Zdesperowana, pobiegła z łazienki do sypialni. Bez instrukcji nie da rady nawinąć włosów na te elektryczne wałki. Jednak randki i zaloty to chyba nie dla niej!

Rozłożyła kartkę ze schematycznymi rysunkami. W maleńkiej łazience nie miała jej gdzie położyć - gdzie nie spoj-

rzeń stały słoiczki, tubki, buteleczki. Czy ktoś by uwierzył, że bycie kobietą jest aż tak skomplikowane?

- Boże, i ja mam to sama zrobić? - jęknęła, wbijając wzrok w rysunki ze wskazówkami, jak ułożyć konkretną fryzurę.

Wąłki i dwie torby kosmetyków kupiła w przerwie na lunch, zaraz po tym, jak Stanley Schwimmer przyprowadził do lecznicy swojego pieska i zaprosił ją na kolację.

Sięgnęła po wałek i natychmiast go rzuciła. Skacząc na jednej nodze, ssała oparzony palec.

- Jest okropnie gorący - burknęła w kierunku Gusa, przyglądającego się jej sceptycznie ze swojego stanowiska w kabinie prysznicowej. - Wiem, że przesadzam - rzekła z pokorą. - Ale Stanley umówił się ze mną po raz pierwszy.

Stanley Schwimmer, stateczny księgowy i miłośnik rasy chihuahua, od dwóch lat przychodził ze swoim Rooseveltem. Zawsze był miły i uprzejmy, lecz ich kontakty ograniczały się wyłącznie do spraw zawodowych. Aż do dziś.

Ostrożnie nawinęła pasmo włosów na gorący wałek. Popatrzyła na swoje odbicie. Daleko jej do Sue Ann. Nawet miedziane włosy i przybrązowane brwi tego nie zmieniają. Bozia dała jej zwyczajną buzię. Może z pomocą kosmetyków nada jej więcej wyrazu.

Nowa, krótka sukienka, w której ostatnio chodziła do pracy, działała cuda. Stanley od razu zaczął zwracać się do Eleanor po imieniu i zaprosił ją na kolację.

A ona zgodziła się bez wahania.

Ten ostatni pocałunek z Cole'em okazał się doskonałą lekcją.

On na pewno tego żałował, bo natychmiast skorzystał

z okazji, by nie być z nią dłużej sam na sam. Celowo podtrzymywał rozmowę z tym starszym małżeństwem. Jego zachowanie mówiło samo za siebie.

W dodatku od dwóch dni, odkąd rozstali się pod jej drzwiami, nie dał znaku życia.

- Tym razem z nim koniec. - Popatrzyła na Gusa. Wpatrywał się w nią ironicznie. - Wiem, że już to mówiłam, ale teraz dotrzymam słowa. I wcale nie żałuję, że się z nim całowałam - ciągnęła, niecierpliwie nawijając na wałek kolejne pasmo. - Teraz bez problemu poradzę sobie z takim zwyczajnym facetem jak Stanley. Bez trudu.

Wpięła spinę, niechcący wbijając ją sobie w skórę. Randka to w sumie nic takiego, najgorsze są te wszystkie przygotowania. To dlatego ma rozdygotane nerwy.

Gdy zadzwonił dzwonek u drzwi wejściowych, aż podskoczyła.

- Niemożliwe, żeby już przyjechał. Która to? - Gorączkowo popatrzyła na zegarek zagubiony w masie tubek i buteleczek. - Piętnaście po siódmej! Umawialiśmy się na ósmą. - Pośpiesznie zaczęła ściągać z głowy wałki. - Przecież mówiłam, że wcześniej nie zdążę! Że wracam z pracy wpół do siódmej i muszę mieć półtorej godziny na przygotowania. Czyli dokładnie o ósmej. Co z niego za księgowy, skoro nie umie liczyć?

Na nową haleczkę z czarnej koronki narzuciła króciutką jedwabną podomkę. Popatrzyła na swoje odbicie. Jeszcze nawet nie zdążyła się umalować.

Dzwonek zadzwonił ponownie.

Popatrzyła na trzymaną w ręku okrągłą szczotkę.

Jak w tej sytuacji powinna zachować się nowoczesna kobieta?

Odłożyła szcztokę, odetchnęła głęboko. Stanley może chwilę poczekać, aż ona się przygotuje. Posadzi go na kanapie, poczęstuje lampką białego wina, które dzisiaj specjalnie kupiła, poda krakersy i pilota.

Obciągnęła podomkę, uśmiechnęła się i poszła otworzyć.

Uchyliła drzwi i odskoczyła raptownie. Duży pies skoczył na nią z radosnym pomrukiem.

- Och! - krzyknęła zdumiona. - Przecież ty nie jesteś Roosevelt - powiedziała odruchowo do wariującego z radości boksera.

- Sadie, siad!

Cole. W czarnych dżinsach i cienkim bladoniebieskim swetrze.

Popatrzyła na niego.

- Co ty tu robisz?

- Przepraszam. Kto to jest Roosevelt?

Oboje umilkli. Patrzyli na siebie przez próg. Eleanor mimowolnie mocniej ściągnęła poły podomki.

Przesunął wzrokiem po jej figurze. I jeszcze raz. Długie, zgrabne nogi. Bez rajstop. Miedziane włosy w nieładzie, ani śladu makijażu. Jakby dopiero co wstała z łóżka. Albo właśnie się położyła.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Wreszcie przerwał ciszę:

- Byliśmy na spacerze i... - urwał. Kłamię bez sensu. Kto przy zdrowych zmysłach jedzie kilkanaście kilometrów, żeby wyjść z psem, skoro obok domu ma park. Znowu milczał, wpatrując się intensywnie w Eleanor.

- Właśnie szykuję się do wyjścia. - Bezwiednie skrzyżowała ręce na piersi. - Chcesz czegoś?

Czekając na odpowiedź, próbowała się uspokoić. Gdy tylko go ujrzała, serce zatrzepotało jej w piersi.

Przecięgnęła dłonią po włosach, by je przyglądzić. Pewnie wygląda jak czupiradło!

- Tak - odparł po chwili namysłu. - Mógłbym dostać wody?

- Wody? Do picia?

- Tak.

Zamrugła ze zdumienia.

- Dla ciebie czy dla Sadie?

- Dla obojga.

- Proszę. - Wzruszyła ramionami, wpuściła go do środka i zamknęła drzwi. - Wejź.

Nalała mu szklanek wody, postawiła pełną miseczkę dla suczki. Cole upił łyk.

- Chyba nie jechałeś taki kawał, żeby poprosić o szklanek wody - zagadnęła, przyglądając się, jak pije.

Cole przełknął, popatrzył na szklanek, podniósł powoli wzrok.

- Nie.

Eleanor pytająco uniosła brązowe brwi. Cole chrząknął.

- Widziałem nową włoską restaurację. Wydaje się całkiem przyjemna.

Przejeżdżałem obok niej, wracając z... -Potrząsnął głową, jakby to nie miało znaczenia. - W każdym razie pomyślałem sobie... Nie jesteś głodna?

Chce ją zaprosić? Już kilka razy to przerobili, bez skutku. Serce zabiło jej jak szalone.

Uspokój się, zgromiła się w duchu. To tylko adrenalina. Okazałaby się bezmyślną niewdzięcznicą, odwołując

umówione spotkanie. Stanley będzie tu... zerknęła na zegarek i niemal podskoczyła... za czterdzieści minut.

Co najmniej tyle trzeba, by podgrzać wałki i nawinąć loki.

- Muszę się szykować. Jestem umówiona.

- Umówiona?

- Tak. - Wyprostowała się, uniosła brodę. - Idę na randkę - dodała z satysfakcją. Jak wspaniale móc coś takiego powiedzieć!

- Z Rooseveltem? - dociekał Cole.

- Nie. Roosevelt to piesek. Chihuahua. - Minęła Cole'a, kierując się do łazienki. - Umówiłam się z jego panem.

Odprowadzał ją wzrokiem, póki nie zniknęła w łazience. Skąd ona, u diabła, umie tak kołysać biodrami?

Sadie przeżyła się przed nim i przysiadła, zachęcając, by szedł za nią. Eleanor nie było widać.

Powinien wyjść. Ale nie miał ochoty.

Nie mógł usiedzieć w domu. Napięcie było zbyt wielkie. Daremnie szukał ulgi. Nie pomógł papieros ani zimne piwo. Próbował zająć myśli planami następnej ekspansji, lecz ten wypróbowany sposób po raz pierwszy zawiódł. Nie wiedział, co się z nim dzieje.

Wreszcie go olśniło. Eleanor. Przy niej się rozluźni, przy niej poczuje się lepiej. Wziąć ją w ramiona... nie, poczuć jej ręce na szyi. Przez całą drogę nie mógł myśleć o niczym innym. Już dwa razy miał ją przy sobie tak blisko. To dawało mu spokój, łagodziło napięte nerwy, oczyszczało.

Wziął psa na' smycz, ruszył w stronę wyjścia. Mijając sypialnię dziewczyny, ostrożnie zerknął do środka.

Na szerokim łożu porozkładane ciuszki. Między nimi

cieniutkie jedwabne rajstopy i delikatny połyskliwy biustonosz w kolorze zgaszonej brzoskwini.

Spochmurniał. Skąd nagle wziął się ten facet?

Przez uchylone drzwi łazienki dochodził dźwięk pośpiesznie stawianych butelek. Sądząc po odgłosach, niektóre wpadały do umywalki.

Podszedł krok bliżej.

Eleanor stała przed lustrem i bezradnie wpatrywała się w masę różnokolorowych słoiczków i tubek. Na czole rysowała się lekka zmarszczka. Widać było, że nie jest w stanie się zdecydować.

Jak nastolatka szykująca się na pierwszą randkę, przemknęło mu przez myśl.

W tym samym momencie poczuł nieoczekiwane ukłucie zazdrości. Co to za facet, dla którego tak się szykuje? Z miejsca go odsądził od czci i wiary.

Sadie zawyla cichutko. Eleanor odwróciła się. Widok Cole'a chyba nawet specjalnie jej nie zdziwił. Miała zagubioną minę.

- Co się stało? - zapytał, chcąc dodać jej otuchy. Pilnował się, by trzymać ręce przy sobie.

Eleanor powoli pokręciła głową. Jej wcześniejszy optymizm i ożywienie rozwiały się bez śladu. Dość kosmetyków przytłaczała ją.

- Mam coraz mniej czasu - rzekła, załamując ręce -i już sama nie jestem pewna...

Czekał, co będzie dalej.

- Czego nie jesteś pewna? - zaryzykował.

Ciebie. Mnie. Randki ze Stanleyem. Popatrzyła na niego bezradnie, łzy napłynęły jej do oczu. Wzruszyła ramionami, by pokryć zmieszanie.

Wskazała na piętrzące się pudełeczka.

- Nie mam pojęcia, co z tym zrobić. Sue Ann mi pokazywała, ale już nic nie pamiętam. Tak bym chciała dziś ładnie wyglądać!

- Zależy ci na tej randce? - zapytał cicho.

- Tak. - Wzięła chusteczkę.

- Jak on się nazywa?

- Stanley. - Wytarła nos. - Stanley Schwimmer.

- Mieszka w tych stronach?

- Przeniósł się tu z Portlandu. Jest biegłym księgowym. Ma własne biuro kilka przecznic od mojej lecznicy.

- Aha.

Zamyślił się. Stanley Schwimmer, biegły księgowy z własnym biurem. Mieszka w Oakdale. Gdyby miał jej kogoś wybrać, to właśnie kogoś takiego. Czy trzeba dużo zachodu, by go wykupić? - mimowolnie przemknęło mu przez myśl.

- Przyjedzie po ciebie czy spotkacie się na mieście? -zapytał, szukając słabych punktów Stanleya.

- Przyjedzie po mnie. Punkt dla Stanleya.

- Ma małego pieska, tak? - zagadnął. Eleanor potwierdziła ruchem głowy.

Cole popatrzył na swoją bokserkę. Wstąpiła w niego nadzieja. Może Eleanor da się przekonać, by spędzić wieczór z nim, a nie ze Stanleyem? Wziąć ją w ramiona... Pamiętał, co wtedy czuł. Pragnęła tego pocałunku, wiedział to. Lecz to było, nim celowo się od niej zdystansował.

- Podoba ci się ten Stanley? Zaczęła bawić się szczotką do włosów.

- Jest bardzo miły. Mamy ze sobą wiele wspólnego.

- Na przykład co?

Sięgnęła po piankę do włosów, przebiegła oczami instrukcję.

- Oboje prowadzimy własne firmy - zaczęła. - Lubimy zwierzęta.

Jesteśmy samotni i chcemy kiedyś założyć rodziny. Jest tylko jedno ale.

- Zaczęła szukać czegoś w pudełeczku ze spinkami.

- A mianowicie?

- Jedno z nas spóźni się na randkę!

Jej zdenerwowanie było wręcz wyczuwalne. Zdał sobie sprawę, że pora dokonać wyboru. Przyszedł, szukając przy niej spokoju i wytchnienia, tak jak przed laty, gdy oboje byli prawie dziećmi.

Ale już nie są dziećmi. Eleanor stała się kobietą, ma własne cele i pragnienia. On dawno poszedł swoją drogą. I nie jest godzien takiej dziewczyny jak ona.

- Spójrz tylko. - Podała mu schematyczne rysunki różnych sposobów nakręcania wałków. - I ja miałabym umieć coś takiego zrobić. Co oni sobie myślą, że jestem mistrzynią grzebienia?

Uśmiechnął się, choć wcale nie było mu do śmiechu. Jeszcze trochę, a prawda o Orły wyjdzie na jaw. Wtedy się stąd zabierze, by odczekać, aż opadną emocje. Zawsze tak robili, mają wprawę. Przez jakiś czas będzie najbardziej znienawidzoną osobą w Oakdale. Nic nie może zaoferować Eleanor. Nawet przyjaźni na dłuższą metę.

Za każdy wybór trzeba zapłacić. Wie o tym. Zdaje sobie sprawę, że decyzja o likwidacji zakładów zostanie gorzko okupiona. Zdusi w sobie uczucia, wybierze zemstę. Z prze-

świadczaniem, że postępuje słusznie. Choć wiele straci. Między innymi Eleanor.

Trudno się z tym pogodzić.

Stanley jest dla niej nieporównywalnie lepszy.

Zrobił krok do przodu, wygładził zmiętą instrukcję.

- Co ty robisz?

Posłał jej podszyte lekką ironią spojrzenie. Patrząc prosto w jej śliczne, zamknięte oczy, oświadczył:

- Pomagam ci wyszykować się na randkę.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- No i jak wyglądam?

W drżącym głosie Eleanor było tyle nadziei i skrywanego oczekiwania, że nie miał serca powiedzieć jej prawdy.

Siedziała przy toalecie, odwrócona tyłem do lustra. Nie widziała swojego odbicia. I całe szczęście. Bo wyglądała jak wypielegnowany pudelek. Uroczy pudelek.

Starał się, jak mógł, lecz zabrakło mu doświadczenia. Włosy poskręcane jak sprężynki; niepotrzebnie zużył tyle lakieru. No ale skąd mógł wiedzieć? Potrząsnął głową.

- Coś nie tak? Dlaczego kręcisz głową?

Chciała obrócić się do lustra, lecz Cole był szybszy. Przytrzymał ją za ramiona.

- Poczekaj. Jeszcze nie skończyłem.

- Znowu kręcisz głową - zaniepokoiła się.

- Zawsze tak robię, gdy tworzę.

Kilkoma pociągnięciami brzoskwiniowej kredki poprawił już wcześniej obrysowany kontur ust. Gdyby było więcej czasu, mógłby zadzwonić po Sue Ann. Teraz jest zdany na siebie. Badawczym spojrzeniem ocenił rezultat. Jest dobrze - niewinne i ujmująco kobiece usteczka.

No, może dałoby się zrobić to lepiej... ale są prawie równe. Jeszcze raz przeciągnął kredką.

Eleanor nie odrywała oczu od jego twarzy. Pracował z przejęciem, skoncentrowany na tym, co robi. Czuła się jak w rękach rzeźbiarza. I było jej odrobinę wstyd, że ekscytacja, jaka ją przepelnia, nie ma nic wspólnego ze Stanleyem.

Cole wyprostował się, pociągnął ją, by wstała.

- Teraz już możesz zobaczyć.

Z radosnym niepokojem popatrzyła na swoje odbicie. Zabrakło jej tchu. Zamrugła gwałtownie powiekami.

Wygląda jak rzymski posąg, który nagle ożył.

Przy maksimum dobrej woli można się było dopatrzeć pewnego podobieństwa do wizerunku proponowanego przez Sue Ann. Bardzo dalekiego podobieństwa. Poskręcane włosy upięte na czubku głowy, sztywne od lakieru.

Na szczęście Cole odwiódł ją od malowania oczu, twierdząc, że mężczyźni tego nie lubią. Za to nie pożałował różu na policzki. A usta...

Pochyliła się bliżej lustra w nadziei, że może to nowe soczewki kontaktowe zamazują prawdziwy obraz.

- Co ty ze mnie zrobiłeś?

Odwróciła się na pięcie. Zdążyła jeszcze pochwycić jego zmieszana minę. Pośpiesznie skrzywił się w wymuszonym uśmiechu.

- Co takiego? - zapytał niewinnie.

- Co takiego? - wybuchnęła. - Popatrz tylko, jak ja wyglądam! Jak Mick Jagger po zastrzykach z kolagenu! Zrobiłeś to specjalnie? - Aż się w niej gotowało. Zmarnował jej włosy! Na domiar złego wyjechał kredką daleko poza kontur ust.

- No co ty! Chciałem... wyglądasz bardzo dobrze.

Z płonącymi gniewnie oczami chwyciła chusteczkę i zaczęła wycierać usta.

Cofnął się. Powinien czuć się winny i skruszony, lecz wcale nie dręczyły go wyrzuty sumienia. Przecież nie zrobił tego celowo. Nie jest aż tak podobna do Jaggera, może troszeczkę. Zresztą Jagger ma wielu fanów. Już miał jej to powiedzieć, gdy zadzwonił dzwonek u drzwi.

Przeraziła się.

- To on! - Szybko wrzuciła chusteczkę do śmieci. - Jak myślisz, góra nie jest zbyt obcisła? - zapytała z niepokojem. - Tylko mów szczerze!

Uważnie obrzucił wzrokiem szmaragdowy kardigan przylegający jak druga skóra. Luźne, leżące się spodnie w tym samym odcieniu podkreślały wiotką sylwetkę. Efekt był piorunujący.

- Jest super - zapewnił zmienionym głosem. Wyciągnął rękę, by musnąć lok opadający jej na czoło.

Sklejony lakierem nawet nie drgnął. Pośpiesznie cofnął dłoń.

- Stanley padnie z wrażenia, Psorko - rzekł miękko, uśmiechając się.

A jeśli nie padnie, to ja zwałę go z nóg, dodał w duchu. Dzwonek zadzwonił ponownie. Eleanor podbiegła do łóżka, chwyciła zieloną, wyszywaną cekinami torebkę.

- A gdzie Sadie i Gus? - zaniepokoiła się.

Cole wzruszył ramionami. Sadie na widok kota natychmiast przestała interesować się zabawkami. Uznała Gusa za kompana do harców.

- Widziałem, jak biegli do salonu. Czemu pytasz? Eleanor pośpiesznie szperała w szufladzie. Wyciągnęła złoty szal, swój najnowszy nabytek.

- Stanley jest przyzwyczajony do małych piesków. Nie wiem, jak zareaguje na Sadie.

- Tak? - Cole uśmiechnął się pod nosem. - Stanley to raczej drobny mężczyzna?

Eleanor zarzuciła szal na ramiona, ostatni raz popatrzyła na swoje odbicie.

- Nie, nie jest drobny. - Nabrała powietrza. Pierś jej falowała. - Idę otworzyć.

Cole ruszył za nią. Aż do tej pory Stanley go absolutnie nie obchodził, lecz teraz obudziła się w nim dziwna ciekawość.

Eleanor poszła do drzwi. Cole zajrzał do kuchni. Gus siedział pod stołem, Sadie stała i wpatrywała się w niego jak zahipnotyzowana.

- Cześć! - dobiegł go zdyszany głos Eleanor. Stanley Schwimmer okazał się wysokim i przystojnym

mężczyzną. Nieco szczuplejszej budowy niż Cole, niemal dorównywał mu wzrostem. Miał lekko rzedniejące jasne włosy i okulary w modnych oprawkach. Sprawiał miłe wrażenie. Trzymał w ręku bukiet koralowych róż. Cole nie odrywał od niego wzroku.

- To dla ciebie - rzekł Stanley, wręczając Eleanor kwiaty. - Pomyślałem, że będą pasować do twoich włosów i karnacji... Podobają ci się?

- Są prześliczne! - Zanurzyła twarz w pachnących płatkach i westchnęła.

- Jak ty - rozpromienił się Stanley. - Wyglądasz... -Przycisnął dłoń do piersi. - Niesamowicie.

Ma gładką gadkę. Niezły z niego czarujący, pomyślał Cole, mierząc go krytycznym spojrzeniem. To nie jest właściwy

facet dla Eleanor, ocenił. Niech no tylko spróbuje położyć tę rękę gdzie indziej niż na swojej piersi, a zabiję go!

Sadie, słysząc nowe głosy, wybiegła z kuchni i radośnie rzuciła się na powitanie gościa. Skoczyła łapami na elegancką marynarkę. Cole starał się zachować poważną minę, gdy Eleanor i biedny Stanley bezskutecznie próbowali okiełznać psiaka.

- Sadie, spokój! - zarządził wreszcie. Sadie potulnie podeszła do pana.

Może mógłby odwołać ją szybciej. -Przepraszam za nią - rzekł pogodnie. Stanley nie przepada za dużymi psami, to już wiadomo.

Stanley, wyraźnie zaskoczony obecnością innego mężczyzny, wpatrywał się w niego z dziwną miną. Cole podeszedł bliżej, wyciągnął rękę.

- Cześć - odezwał się.

- Stanley, to Cole Sullivan - przedstawiła go Eleanor. - Chodziliśmy razem do liceum. - Widząc pochmurną minę Stanleya, dodała: -

Przyszedł ułożyć mi włosy. - Odwróciła się i obdarzyła Cole'a uśmiechem. I powiedziała coś, co na chwilę odebrało mu mowę. -

Pięknie się sprawiłeś.

Stanley wyraźnie się rozluźnił. Łaskawiej popatrzył na Cole'a. Widać uznał, że mu nie zagraża.

- Aha - uśmiechnął się. - Pracujesz w salonie gdzieś w pobliżu?

- Nie, nie pracuję w salonie...

- Cole, bądź tak dobry i wstaw kwiaty - przerwała mu Eleanor, podając bukiet. - Wazon jest w szafce pod zlewozmywakiem. - Cole skrzywił się.

Eleanor poklepała go po policzku. - Jesteś kochany. Dobrej nocy.

- Poczekaj. Już wychodzicie?

- No, chyba tak. - Popatrzyła pytająco na Stanleya. Cole przymrużył oczy.

- Po co się tak śpieszyć? Zaproś Stanleya na chwilę.

- Podszedł do gościa, po przyjacielsku otoczył go ramieniem i pociągnął zaskoczony Stanleya w kierunku salonu.

- Myślę, że raczej powinniśmy już wyjść. Jest po ósmej

- opierała się Eleanor.

- Stanley na pewno chętnie napije się twojego imbirowego piwa - nie dawał się zbyć Cole. - Co ty na to, stary? Nie masz ochoty trochę się nawilżyć?

- Już jest odpowiednio nawilżony! - Eleanor przytrzymała zdezorientowanego Stanleya.

- Musimy iść - odezwał się Stanley. - Mamy zarezerwowany stolik na kolację.

- Cudownie. - Eleanor wsunęła mu rękę pod ramię. Zrobiła to tak naturalnie, jakby co wieczór chodziła na randki. - Dokąd idziemy?

- Do „Giacolini”. To nowa włoska restauracja. Eleanor mimowolnie zerknęła na Cole'a. Czy to nie tam chciał ją dzisiaj wyciągnąć?

- Wspaniale - szepnęła do Stanleya. - Dobrej nocy, Cole.

- Nie przejmuj się mną - odparł lekko. Uniósł bukiet.

- Wstawię kwiaty i zmywam się do domu.

Eleanor posłała mu zdawkowy uśmiech i wyszła ze Stanleyem. Cole skrzywił usta w wymuszonym uśmiechu.

- Cześć. - Podniósł bukiet. - Tylko się dobrze postaraj!

Do domu wróciła o jedenastej. Czowała się śpiąca i zmęczona. Padała z nóg.

Stanley odprowadził ją pod drzwi.

Kolacja była pyszna, a Stanley okazał się miłym i interesującym mężczyzną. Jednak między nimi nic nie zaiskrzyło. Zupełnie nic.

- Dziękuję za wspaniały wieczór - powiedziała.

- Przyjemność po mojej stronie - odparł uprzejmie. - Mogę na chwilę wejść? - zapytał.

Czuła się inaczej. Obudziło się w niej coś, czego dotąd nie знаła: wiara w siebie, poczucie, że potrafi podjąć właściwe decyzje. Stanley to porządny facet, ale nie dla niej. Oddała serce innemu. To dlatego dotąd jest sama.

Już miała oznajmić, że pora się pożegnać, gdy drzwi otworzyły się nieoczekiwanie.

Cole patrzył na nich w milczeniu. Zaciśnięte szczęki, potargane włosy, ponura mina.

Przez chwilę żadne z nich się nie odezwało. Wiedziała, że powinna zażądać wyjaśnień, lecz zamiast tego mimowolnie spytała:

- Gdzie Sadie?

- W sypialni, śpi z Gusem. - Przeciągnął palcami po czuprynie. - Bałem się, że jak przyjdziecie, zacznie szczekać i pobudzi sąsiadów.

- Przepraszam - otrząsnął się Stanley. - Mówiłaś, że przyszedł cię uczesać.

- No i co z tego? - groźnie mruknął Cole, nie dając Eleanor szansy na wyjaśnienia.

Stanley uśmiechnął się z przymusem.

- Nic. Tylko... - zaśmiał się lekko. - Jest jedenasta w nocy - rzekł, jakby to dostatecznie tłumaczyło jego wątpliwości, jakby miał prawo do wyjaśnień.

Cole skrzyżował ramiona.

- Eleanor ma kablówkę.

Bała się, że zaraz skoczą sobie do oczu. Rzuciła Cole'owi groźne spojrzenie, odwróciła się do Stanleya.

- Jeszcze raz dzięki za cudowny wieczór. Zrobiło się późno, a jutro z samego rana mam operację. Pozwólcie, że się z wami pożegnam.

Stanley, słysząc to, od razu odżył.

- Dobrze. Ja też muszę jutro wcześniej wstać. - Omiótł spojrzeniem Cole'a, popatrzył na dziewczynę. - Mogę jeszcze do ciebie zadzwonić? Ujął ją tym gestem. Było jej przykro, że wieczór skończył się takim zgrzytem.

- Jak najbardziej, będzie mi bardzo miło.

Stanley cmoknął ją w policzek, kiwnął głową Cole'owi i zniknął w ciemnościach.

Eleanor weszła do domu, popychając Cole'a do środka. Zamknęła drzwi. Cole potarł ręką twarz. Wydawał się zmieszany.

- Muszę pójść do sypialni po Sadie. Potem...

- Masz ochotę się czegoś napić? - zapytała, mijając go i idąc do kuchni. - Mam świetną herbatę ziołową. Smakuje jak kawa, a nie zawiera kofeiny.

- Wyjęła z szafki dwa kubki i postawiła na blacie.

- Zapraszasz mnie na herbatę? - zapytał z niedowierzaniem. - Powinnaś wyrzucić mnie stąd na zbity pysk.

- Zapamiętam to sobie. - Uśmiechnęła się. - Przyszedłeś tu z jakiegoś powodu. Po coś zostałeś. Jestem ciekawa. - Wyjęła dwie torebki herbaty. Nie naciskała go. Jeśli zechce, sam powie, po co przyszedł.

- No to jak? Wieczór się udał? - zapytał.
- Bardzo. Podają pyszne paluszki. Z masłem i tartym parmezanem. Cole zamruczał głucho.
- Mają domową minestrone.
- Hmm. Właściwie nie...
- Ogromne porcje świeżych warzyw, smakujących zupełnie inaczej niż te z puszki.
- Eleanor...
- Przepraszam! Opowiadam o jedzeniu, a ty może umierasz z głodu. Zwykle mam w lodówce reszki chińsz-czyzny. Choć ostatnio...
- Eleanor! Nie pytam cię o jedzenie.
- Aha. - Cofnęła się od lodówki i w milczeniu zaczęła ustawiać na tacy kubki, mleko i cukiernicę. Zniosła wszystko do salonu. Usadowiła się na kanapie. Dopiero teraz popatrzyła na Cole'a.
- No więc, co chcesz wiedzieć?
- Cole usiadł obok niej, rozciągnął ramię na oparciu kanapy. Westchnął.
- Dobrze się bawiłaś ze Stanleyem?
- To porządny człowiek. - Eleanor zrzuciła pantofle, oparła się wygodniej. Przymknęła oczy. Na jej buzi błąkał się lekki uśmiech. - Ale on nie jest dla mnie. To nie była randka, jaką bym sobie wymarzyła. - Czują spływający na nią spokój. - Tobie się taka zdarzyła?
- Poczuła, że Cole też sadowi się wygodniej.
- Trudno powiedzieć. Chyba nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

- Kiedyś tak. Gdy umówiłeś się z Sue Ann. - Otworzyła oczy. Miał zaskoczoną minę. - Na bal maturalny - uściśliła. - Pamiętam, ile sobie po tym obiecywałeś.

- No nie - jęknął Cole. Uśmiechnął się. - Chcesz powiedzieć, że liczyłem na kotłowanie się w sianie.

Odwzajemniła uśmiech.

- Teraz sobie przypominam. Kilka razy wspomniałeś, że będzie dobra zabawa.

- Powiem ci tylko, że opinia na temat Sue Ann była mocno przesadzona. Lepiej, byś to wiedziała. Wtedy zostaliśmy przyjaciółmi, nic więcej. Odetchnęła z ulgą. Czowała się szczęśliwa.

- Też sobie coś przypominam - odezwał się Cole, patrząc na nią uważnie. - Byłaś na mnie wściekła. Możesz to wyjaśnić?

- Wolę nie. To może obrócić się przeciwko mnie.

- A jeśli ci powiem, że w zamrażarce jest pudełko lodów waniliowo-orzechowych?

Zagryzła usta. Nie mogła się zdecydować.

- Z syropem karmelowym?

- I kawałkami czekolady - kusił, zniżając głos. Eleanor zamknęła oczy.

- Ty szatanie! - Nabrała powietrza, przycisnęła do siebie poduszkę. - No dobrze - zdecydowała się. - Byłam zazdrosna. Bardzo chciałam iść na ten bal, a kiedy usłyszałam, że zaprosiłeś Sue Ann, trochę mnie to zdenerwowało.

- Trochę? Rzuciłaś we mnie książką. Rozcięłaś mi policzek.

- Celowałam w czoło, tylko się uchyliłeś. Nie udało mu się stłumić uśmiechu.

- Jesteś niebezpieczną dziewczyną. Dopiero teraz zaczynam to widzieć. -
Urwał. - Dlaczego chciałaś iść na ten bal ze mną? - zapytał lekko.
Tak jakby odpowiedź nie była oczywista.
Bo kocham cię, Cole. Od dnia, kiedy stanąłeś przede mną w szkolnej
stołówce i spytałeś, czy mogę ci pomóc z nauką.
Nie powiedziała tego głośno. Choć ciągle miała w pamięci tamtą chwilę.
Czuła smak kanapki z tuńczykiem. Nawet dziś ten smak natychmiast
przywoływał wspomnienia...
- Teraz twoja kolej - powiedziała cicho. Nie odrywała od niego wzroku.
- Wiedziałeś, że wariuję na twoim punkcie, prawda?
Od tych słów robiło mu się słodko w środku. Podniósł rękę, by odgarnąć
jej kosmyk włosów z czoła. Lok był sztywny jak drut.
Och, Psorko, przemknęło mu przez myśl. Już chyba zawsze będzie o
niej tak myśleć. Jego cudowna nauczycielka. Tyle go nauczyła, nie tylko
matematyki. Pogładził ją po policzku.
- Tak. Wiedziałem.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Poczuła, że oblewa się rumieńcem.

- Nigdy tego nie okazałeś. Nawet tego ostatniego dnia w bibliotece. Chciałeś, bym zachowała twarz?

- Co ty, Psorko. - Przesunął kciukiem po linii jej brwi, pogładził po policzku. - Może chciałem ratować twarz, ale nie twoją. Tobie to nie było potrzebne.

Stropiła się. Potrząsnęła głową.

- W takim razie czyją? - Powoli zaczęło do niej docierać. - Twoją? Nie rozumiem. Jak ja się wtedy czułam... - Głos jej się łamał. Nie mogła się pozbierać. Patrzyła na niego w milczeniu.

Cole podniósł się. Przeszedł na drugą stronę pokoju, odwrócił się tyłem. Na mgnienie zamknął oczy.

- Eleanor, ja ci nie dorastałem do pięt. Zawsze tak było, tylko ty tego nie widziałaś. - Zaśmiał się gorzko.

Wstała, podeszła do niego. Szła cicho. Wyczuł jej obecność i odwrócił się powoli, jakby wbrew sobie. Miał zmienioną twarz.

- O co właściwie chodzi? - odezwała się. - Powiedz mi. Dwanaście długich lat, nadzieje i złudzenia, którymi się karmiła, tęskne wyczekiwanie, że może coś się zmieni. Musi być jakieś wytłumaczenie.

- Zostawiałem książki w szkolnej szafce. Nigdy nie zabierałem ich do domu. Nie wiedziałaś o tym, prawda?

Eleanor pokręciła głową.

- Gdy tylko mogłem, przychodziłem do szkoły jak najwcześniej. Również w weekendy, jeśli akurat nie pracowałem. Szedłem do stołówki i tam się uczyłem. Gdy robiło się ciemno, świeciłem sobie latarką. Czasami, kiedy musiałem nauczyć się czegoś na pamięć, wrywałem kartki.

- Dlaczego? Nie mogłeś wziąć książki?

- Mój ojciec ledwie skończył cztery klasy. Nie mógł znieść myśli, że go prześcignąłem. Moje dążenie do zdobycia wykształcenia było dla niego przekreśleniem wszystkiego, do czego doszedł. Wpadał w gniew, widząc mnie nad książką. Pal diabli, gdyby odbijało się to tylko na mnie. Byłem odporny, umiałem się postawić. Dałbym sobie z nim radę. Ale moja mama chciała nas godzić i... - urwał, nie dokończywszy. Zaciśnął usta.

- Prościej było zostawiać książki w szkole. Gdyby to rozgrywało się tylko między nim a mną, codziennie brałbym je do domu. Pod pewnym względem miał rację - ciągnął Cole. - Rzeczywiście go oceniałem, pozwalałem sobie na komentarze. Dla niego praca w Orły była treścią i sensem życia. Uważał, że jego syn nie potrzebuje niczego więcej. A ja nie mogłem znieść myśli, że miałbym do końca życia pakować mięso. I cieszyć się, że po całym dniu pracy wreszcie mogę zmyć z rąk krew i wracać do domu.

Potarł dłonią kark.

- Przy kolacji bez końca truł, jaki to zaszczyt być robotnikiem. Mama ledwie siedziała, tak była zmęczona po

całym dniu sprzątania po domach. We mnie się gotowało. Mieszkamy w walącym się domu, obywamy bez gazet, bo przecież ojciec nie umie czytać, i ja miałbym chcieć takiego samego życia? Nie mogłem go słuchać. Wszystko, co powiedział czy zrobił, budziło we mnie natychmiastowy bunt.

- To dlatego tak zależało ci na zdobyciu stypendium?

- Zrobiłbym wszystko, byle się stamtąd wyrwać.

- Pamiętam. Uczyłeś się jak szalony.

- Tak było. Ale udało się. Chciałem zabrać mamę. Nie zgodziła się.

- Bała się, że ojciec się rozgniewa?

- To też. Choć nie tylko dlatego. Liczyła, że z czasem coś się zmieni, że jakoś się ułoży. Ona w każdym upatrywała dobro. Jak ty.

- Ale utrzymywałeś z nimi kontakt, gdy wyjechałeś z Oakdale? - zapytała.

- Z ojcem nie rozmawiałem od lat - sprostował. - Zamienialiśmy parę słów, gdy dzwoniłem do mamy.

- Jednak kupiłeś dla nich dom.

- Mama gryzła się, że nie możemy znaleźć z ojcem wspólnego języka. Chciała, byśmy się pogodzili. Ten dom to miał być gest pojednania z mojej strony. Poza tym chciałem, by mamie było lepiej. - Zapatrzył się w dal. - Przynajmniej tak wtedy myślałem.

Od razu go przejrzała. Gdyby rzeczywiście chciał wyciągnąć rękę na zgodę, kupiłby inny dom. Nie taki, o jakim Jack Sullivan nawet nie mógłby zamarzyć.

- Jak zareagowali rodzice?

- Mama cieszyła się jak dziecko. Nie wiedziała, co naj-

pierw oglądać. Nieraz mówiła, że chciałyby mieć słoneczne mieszkanie. Dlatego cały dom wymalowano na żółto.

W jego głosie było tyle czułości i bólu, że ledwie się powstrzymała, by go nie przytulić.

- Mama chciała tam mieszkać. Była gotowa natychmiast się przenieść. Widziałem to. - Zacisnął usta. - Ojciec też to spostrzegł. Zabrał jej klucze i rzucił mi je. Powiedział, że nie potrzeba im domu za zdobyte na lewo pieniądze. - Cole uśmiechnął się z gorzką ironią. - Tak jakbym zarobił je nielegalnie. Nie zaskoczył mnie. Ale moja mama... - urwał, jakby trudno mu było mówić. - Namawiałem ją, żeby się przeprowadziła, ale ona nigdy nie odważyła się przeciwstawić się ojcu. Przypomniała sobie, jak kiedyś powiedział, że ten dom jest dla niego jak memento.

- Kiedy straciłeś mamę? Nie patrzył na nią.

- Następnego lata. Po kolejnym roku szorowania ludziom mieszkań. Od lat cierpiała na przewlekłe zapalenie oskrzeli i arytmie. Ubezpieczenie Orły pokrywało tylko lokalną przychodnię. Nigdy nie była u prawdziwego specjalisty.

Położyła mu rękę na ramieniu. Miał spięte mięśnie.

- Próbowales jej pomóc - domyśliła się.

- Odmówiła. Nie chciała zaognić sytuacji.

- Bardzo ci współczuję.

- Nie przejmuj się mną. Nie powiedziałem wszystkiego.

- Przejmuję się. Myślisz, że coś może to zmienić?

- Powinno. - Patrzył na nią z napięciem. - Jack to nie jedyny czarny charakter w tej opowieści. Już nie. Ja nie jestem od niego lepszy.

- Nie mów tak. Ty jesteś dobry. Nikogo byś nie skrzywdził, wiem to. Wyczuła, że jeszcze bardziej się spiał. Nie poruszył się.

- Tak myślisz? - W jego głosie zabrzmiał sarkazm. Teraz to ona się zdenerwowała.

- Cole, nikt nie jest do końca dobry ani do końca zły. Nie oceniam twojego ojca. Ale każdy ma prawo iść za swoimi marzeniami. Ty też.

- To, co mówisz, świadczy o twoim charakterze - rzekł, potrząsając głową. - Nie o mnie. Nie wiesz....

- Przecież cię znam! - Złapała go za ramię i pociągnęła, by patrzył na nią. - Dlaczego tak źle się osądzasz? Pamiętasz, jak mnie pocieszałeś, gdy zdechł mój pies? Miałeś zaliczać fizykę, zależało ci na dobrym stopniu. W ogóle się wtedy nie uczyliśmy. Wypytywałeś mnie o niego, związane z nim historie. Bardzo mi wtedy pomogłeś.

Umilkła, cofając się myślami w przeszłość.

- W szkole nie miałam wielu przyjaciół. Czułam się odtrącona, nikt się ze mną nie liczył. Dawałam ściagać, by zyskać życzliwość innych.

Tamtego dnia po raz pierwszy ktoś się mną przejął. Zależało ci na fizyce, ale zachowałeś się tak, jakbym to ja była najważniejsza.

Stał jak ogłuszony. Patrzył na jej szczerą buzię, oddanie malujące się w szeroko otwartych oczach. Naprawdę w niego wierzyła.

Zawsze wiedział, że Eleanor przewyższa go pod każdym względem, że nie jest jej godny. Teraz ma potwierdzenie.

- Eleanor - zniżył głos. - To nie było nic takiego. Ani trudnego.

Widziała, że jej wiara w niego budzi w nim opór. Musiało minąć tyle lat, by oczy się jej otworzyły; by zrozumiała, że są do siebie podobni. Liczyła, że jeśli Cole ją pokocha, wszystko się zmieni, że poczuje się dowartościowana. Teraz się okazuje, że on jest taki, jak ona. I nic, poza prawdą, tego nie zmieni.

- Kocham cię.

Czekała dwanaście lat, by to powiedzieć. I zrobiła to w taki sposób, prosto z mostu! Choć może to i dobrze.

- Kocham cię - powtórzyła, nie doczekawszy się reakcji. - Od liceum.

Prosiłam, żebyś nie nazywał mnie Psor-ką, ale gdy tak do mnie mówisz, mam gęsią skórkę. - Uśmiechnęła się blado. - Ostatni raz ci to mówię.

Cole ani drgnął. Choć właśnie dowiedział się, że przez dwanaście lat ktoś go kochał.

- To śmieszne, co? - rzuciła, unosząc głowę. - Przez lata chronisz coś jak wielką tajemnicę, a to nic więcej niż zwyczajna prawda. - Ogarniał ją coraz większy smutek. - Może niedługo znowu stąd wyjedziesz. Nie chcę do końca życia wyrzucać sobie, że nic ci nie powiedziałam.

Widziała, że chłonie jej słowa. Jednak nadal milczał. Przestała się przejmować, czy to, co powie, pogorszy, czy polepszy ich relację.

Przynajmniej będzie szczerą.

- Oszukiwałam się - rzekła. - Wmawiałam sobie, że jestem sama, bo nikt mnie nie chce, bo nie mam czasu na poznawanie ludzi, bo jestem nieśmiała. Ale prawda jest inna. - Łzy napłynęły jej do oczu. - Po prostu nikt nie mógł mi ciebie zastąpić. Chciałam, żeby było tak, jak czułam się z tobą.

Złożyła ręce na kolanach. Przebiegł ją dreszcz.

- Zawsze czułam, że ci na mnie zależy. - Odbiegła

wzrokiem w bok, by łatwiej zebrać się na odwagę. - Myślę, że teraz też ci się podobam. - Zmusiła się, by znowu na niego popatrzeć. Nabrała powietrza. - Więc dlaczego mnie nie kochasz?

Odwrócił wzrok. Czuł się dziwnie. Miłość. Przecież Eleanor nie ma pojęcia, co to znaczy. Gdyby oznajmiła, że kogoś kocha, trudno byłoby to przełknąć. Bałby się o nią. Ale uwierzyć, że to w nim jest zakochana? Musi zapanować nad sytuacją. Popatrzył na dziewczynę. Ścisnęło go w piersi. Przejdzie jej to uczucie. I kiedyś sama mu podziękuje. Za to, że nie skorzystał z okazji.

Albo na zawsze go znienawidzi. Choć to też będzie lepsze niż... Niż co? Dławiło go w gardle. Co będzie, jeśli ją pokocha?

Było mu coraz bardziej niedobrze. Skóra mrowiła. Wtedy w bibliotece domyślał się, że Eleanor czeka na propozycję. Przez chwilę chciał ją zaprosić, ale szybko odepchnął od siebie ten pomysł. Dlaczego?

Naraz go olśniło. Wszystko stało się przerażająco oczywiste. Nie chciał jej miłości, nie chciał jej kochać. Bo bał się, że kiedy go pozna, przejrzy na oczy. I przestanie widzieć w nim ideał.

Musi jej coś powiedzieć.

Paliło go w żołądku. Gdyby potrafił mówić jak ona. Nie umie. Boi się ryzyka. Nie chce, by wyszło na jaw, że nie ma pojęcia o miłości. Że nie potrafi jej tego nauczyć.

Przełknął ślinę.

- Jesteśmy przyjaciółmi... - zaczął chrapliwie. Nie musiał kończyć. Oczy Eleanor zmieniły się w chwili, gdy to usłyszała. Zmroziło go.

- Wiem - odezwała się cicho. Jeszcze nigdy nie widział jej takiej spokojnej. Pogodziła się. Uznała, że nie ma już o co walczyć. Na dnie brązowych oczu dostrzegł błysk żalu.

Uniosła dłoń, przesunęła nią po jego policzku. Opuściła rękę.

- Cześć, Cole - szepnęła z westchnieniem, wyginając usta w bladym uśmiechu. - Żegnaj.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Skończyła obchód pacjentów, wróciła do gabinetu. Minęło trzynaście dni, odkąd ostatni raz rozmawiała z Colem. Nawet nie pół miesiąca, a wydaje się, że to było tak dawno temu. Teraz, kiedy rozwiały się wszelkie nadzieje, życie straciło barwy. Już nawet nie może sobie o nim pomarzyć.

Zamyśliła się. W chwili gdy zrozumiała, że oczekuje więcej, niż Cole jest w stanie ofiarować, uświadomiła sobie jeszcze jedno: że chce mieć wszystko. Wyznała mu miłość. I to zmieniło jej życie.

Dotknęła okularów. Przestała nosić szkła kontaktowe, bolała ją od nich głowa. Wzięła do ręki małą figurkę szkockiego teriera, symboliczny upominek od właścicielki jednego z pacjentów.

Musi zacząć inaczej patrzeć w przyszłość. Ma satysfakcjonującą pracę, odnosi sukcesy. Rodzice i brat nie mają szczególnych problemów. Jest jeszcze młoda, wszystko przed nią. Niepotrzebnie łamie sobie głowę pytaniem, czemu Cole nawet nie zadzwonił; czemu nie przyszedł, by powiedzieć, że też ją kocha i nie wyobraża sobie bez niej życia. Niby wszystko jest dobrze, ale miała ochotę położyć głowę na biurku i zanieść się płaczem.

- To zmęczenie - przemówiła do siebie, odkładając fi-

gurkę na półkę i zbierając się do wyjścia. Jest piątkowy wieczór, pora do domu. - Za dużo pracuję.

Ze spaniem też miała kłopoty. Dziś wieczorem położy się wcześniej. Po drodze kupi tylko coś u Chińczyka.

Zatrzymała się przy biurku Chloe.

- Już wychodzę. To do poniedziałku.

- Poczekaj. - Chloe wskazała na poczekalnię. - Masz gościa.

Serce zabiło jej jak szalone. Odwróciła się. Olśniewająca blondynka wstała z fotela, podeszła i uścisnęła ją serdecznie, jak dobrą przyjaciółkę.

- Sue Ann! Co ty tu robisz? - Z podziwem popatrzyła na dziewczynę ubraną w obcisłą kobaltową sukienkę ze śmiałym rozcięciem z boku. - Wyglądasz wspaniale! Szykuje ci się wyjście?

- Uhm. Damski wieczór. - Sue Ann uśmiechnęła się szeroko. Wzięła z fotela torbę z jakimś ciuchem. - Trzymaj. Przebierz się, a ja zajmę się twoimi włosami. Mam wszystko, co trzeba.

Eleanor wbiła w nią zdumione spojrzenie.

- Pośpiesz się! - włączyła się Chloe. - Nie mogę się doczekać, jak ci w tym będzie.

- Zaraz... - Eleanor z trudem zbierała myśli. - Umawialiśmy się dziś na jakieś wyjście?

- Nie, chcieliśmy ci zrobić niespodziankę.

- Niespodziankę?

- Sue Ann dzwoniła wczoraj, ale byłaś zajęta - wyjaśniła Chloe. -

Pogadałyśmy sobie przez chwilę. Powiedziała mi o klubie, do którego się wybiera. Prawdę mówiąc, ja się wprosiłam.

- To nowy klub taneczny - przejęła pałeczkę Sue Ann.
 - Klub taneczny? - zdumiała się Eleanor. Perspektywa wieczoru w zaciszu domowym coraz bardziej do niej przemawiała.
- Chloe znaczącym gestem wskazała na szefową.
- Widzisz? - zwróciła się do Sue Ann. - Mówiłam ci, że tak będzie.
 - Jeszcze nic nie powiedziałam! - obruszyła się Eleanor.
 - Wystarczy na ciebie spojrzeć.
 - Nie chodzi o to, że nie mam ochoty na tańce, ale planowałam, że pójde wcześniej spać. Ostatnio mało spałam. Za dużo pracuję.
 - Od dwóch tygodni snujesz się jak potępiona dusza -upierała się Chloe.
 - Takie wyjście dobrze ci zrobi.
 - Wcale się nie snuję!

Chloe tylko przewróciła oczami.

- Nie od dwóch tygodni - broniła się Eleanor. - Najwyżej od... trzynastu dni. No dobrze, pójde z wami.
- To mi się podoba! - Sue Ann podała jej torbę z ubraniami. - Przebierz się, a potem zrobię coś fajnego z twoimi włosami. Będzie super, zobaczysz! Spodoba ci się ten klub.

Bardzo w to wątpiła. Wcale nie ma ochoty na tańce. Chce się snuć i jęczeć nad sobą.

Czy Sue Ann widziała się ostatnio z Cole'em? Może z nim rozmawiała? Ciekawe, czy jeszcze jest w Oakdale. I czy wspomniał coś na jej temat? Poczula się rażniej, gdy po szybkich przygotowaniach popatrzyła na swoje odbicie. Ta sukienka od Sue Ann jest po prostu przepiękna. Cieniutki szyfon w mglisty pastelowy

wzór. Jak obraz Moneta, przebiegło jej przez myśl. Lekka tkanina miękko spływała w dół, delikatne marszczenia na bokach podkreślały figurę. Może nie będzie tak źle. Bez zbędnych słów wsiadła do samochodu. Ruszyły.

Gdyby Cole teraz... natychmiast odepchnęła od siebie te myśli.

Popatrzyła na mijane ulice. Nie знаła tej dzielnicy. Stare, zaniedbane domy, podejrzana okolica.

- Jak się nazywała ta ulica? - zapytała Sue Ann, wykręcając głowę, by lepiej widzieć.

- To gdzieś tutaj? - zdumiała się Eleanor. - Trochę dziwne miejsce na klub.

- Prawda? - potwierdziła Chloe. - Patrzcie, to chyba tam, widać światła. Tamten magazyn. Są przed nim samochody.

Sue Ann zjechała na pobocze, wyłączyła silnik.

- Idziemy tam? - z powątpiewaniem spytała Eleanor. Sue Ann nawet się nie zastanawiała. Wysiadła. Chloe,

wystrojona w wyszywaną cekinami skąpą sukienkę, wyskoczyła z auta. Eleanor nie miała innego wyboru, jak podążyć za nimi.

Podeszły do zardzewiałych, żelaznych drzwi.

- Sama nie wiem, co tam zastaniemy - zastrzegła się Sue Ann. - Ale na pewno są tam fajni faceci.

Eleanor popatrzyła na nierówny chodnik, ściany pokryte łuszczącą się farbą, ponure otoczenie.

- Chyba masz na myśli patrol policyjny. Wszystkie trzy zachichotały.

- Słysząc muzykę. - Chloe nastawiła uszu.

- Czyli to tu - stwierdziła Sue Ann. - Eleanor, rozchmurz się! Po co tak się męczyłam nad twoim makijażem?

- Popatrzyła na Chloe. - Umawiamy się. Jeśli nie będzie nam się podobać, wychodzimy po trzydziestu minutach. Zgoda?

Eleanor uśmiechnęła się blado. Nie chcę się bawić, chcę tylko...

Chciałaby teraz być z Cole'em.

Pewnie na tym polega uzależnienie. Rozpaczliwie pragniesz czegoś, co tylko pogłębia twoje cierpienie. Wmawiasz sobie, że nie ma bezproblemowych związków, że nie można mieć w życiu wszystkiego. I z uporem się oszukujesz, bo boisz się prawdy.

Boże, no właśnie! Przecież to ona powiedziała mu „żegnaj”. Był jak porażony. Przybity i przygnębiony. To ona chciała zostać sama, bo bała się, że zaraz się załamie.

Dlaczego tak szybko się poddała? Czekwała dwanaście lat, nim wreszcie zdobyła się na wyznanie. Może Cole jeszcze sam nie wie, że ją kocha? Zależy mu na niej. Widać to po jego oczach, po sposobie, w jaki jej słucha. Poparzył sobie palce, układając jej loki. Tak ją wymalował, że wyglądała jak kanapowy pudełek. Bo był zazdrosny o Stanleya! Zrobił to z zazdrości. To coś znaczy. Powinna dać mu jeszcze jedną szansę, może wreszcie przejrzałby na oczy.

Podeksycytowana, odwróciła się do Sue Ann.

- Pożyczysz mi samochód? - Najpierw pojedzie do jego domu, a jeśli tam go nie zastanie, to...

- Słucham?

- Potrzebuję samochód. Odstawię go tutaj.

- Eleanor! - obruszyła się Chloe. - Nie ma mowy! No tak, ocknęła się.

Chyba się zagalopowała. Przecież

nie zostawi tu przyjaciółek na łasce losu. Musi się opamię-

tac. Ale to nie znaczy, że będzie biernie czekać na rozwój wypadków.

- Przepraszam - uśmiechnęła się skruszona. - Macie rację. Jak
wejdziemy do środka, wezwę taksówkę.

- Eleanor, przestań... - zaczęła Chloe, lecz Eleanor nie słuchała, tylko
zdecydowanym ruchem otworzyła drzwi.

Teraz już można było rozróżnić dźwięki muzyki. Nowa wersja dawnego
romantycznego przeboju.

Eleanor zrobiła dwa kroki do środka i zatrzymała się jak wryta. Zabrakło
jej tchu.

Obskurny wygląd budynku stanowił całkowite zaprzeczenie tego, co
było wewnątrz. Miała wrażenie, jakby w jednej sekundzie znalazła się w
innym, bajkowym świecie.

Roztańczone pary, zespół grający na scenie w drugim rogu sali,
unoszące się w powietrzu balony z doczepionymi do nich serpentynami.
I rozedrgane, barwne iskierki światła, sypiące się ze wszystkich stron,
rozłśniewające na roześmianych twarzach, odbijające się w
połyskliwych serpentynach.

Lustrzana kula wisząca pod sufitem obracała się powoli, rozsiewając
świetliste blaski. Eleanor wpatrywała się w nią jak urzeczona. To jak
niezwykły, cudowny sen. Zrobiła krok naprzód. To wcale nie jest
zwyczajny klub i zwyczajny wieczór. .. Co się dzieje?

„Witamy na balu maturalnym”

Wlepiała wzrok w jaskrawo wymalowany napis. Zabrakło jej powietrza.
Odwróciła się, szukając Sue Ann.

- Cześć, Psorko.

Zamiast Sue Ann i Chloe, zobaczyła Cole'a. Ubrany w granatowy
smoking, biały kwiat w butonierce. W dłoni trzymał bukietik białych
gardenii.

- Nie dałem ci ich dwanaście lat temu - odezwał się. - Chciałbym to teraz nadrobić.

Dopiero teraz spostrzegła, że stoliki ustawione wokół sali są udekorowane gardeniami.

Oszołomiona, skinęła głową. Cole przypiął bukiet do sukni. Ujął dłoń Eleanor i pocałował z szacunkiem.

- Eleanor Lippert, czy wyświadczysz mi ten zaszczyt i zgodzisz się towarzyszyć mi na balu maturalnym?

Poczuła łzy w oczach. I nic nie mogła na nie poradzić.

- Czy to oznacza zgodę?

- Tak - wybąkała łamiącym się głosem.

Cole delikatnie poprowadził ją na parkiet. Orkiestra z miejsca zagrała inaczej. Tańczący witali ich uśmiechami.

- To ty to wszystko zorganizowałeś? - Eleanor popatrzyła na niego oczami pełnymi zaskoczonego zachwytu. Była szczęśliwa.

- Miałem pomocników. - Skinął na rozchichotane Sue Ann i Chloe stojące nieco dalej. - Bardzo chętnych do pomocy.

- Ale... - Potrząsnęła głową. - Jest wspaniale... -Zdecydowała, że po prostu powie prawdę. - Nie musiałeś aż tak się starać.

- O ciebie warto się starać - rzekł, odgarniając jej z czoła pasemko włosów. Przytulił ją do siebie. - Brakowało mi ciebie - szepnął.

- Mnie też. Te dwa tygodnie ciągnęły się w nieskończoność.

- Całe dwanaście lat - powiedział, odsuwając się tak, by widzieć jej twarz. - Tęskniłem za tobą. Marzyłem, by być przy tobie. Ale najpierw musiałem wyprostować pewne

sprawy, naprawić błędy. By stać się takim, jakim ty mnie widziałaś. -
Patrzył na nią z napięciem. - Kupiłem Orły.

- Przecież nienawdziłeś Orły! - zdumiała się.

- To prawda. - Wskazał na tańczących. - Mów ciszej. Oni tam pracują.

- Przepraszam - ściszyła głos. - Kupiłeś, żeby podzielić na części i
sprzedać - olśniło ją.

Cole puścił oko.

- Ale zmieniłeś zamiar - domyśliła się.

- Chcę nadać fabryce ludzki wymiar - powiedział z przekonaniem. -

Zatroszczyć się o ludzi, nie myśleć wyłącznie o zysku za wszelką cenę. -

Westchnął. - Mam ci dużo do powiedzenia.

Pociągnął ją do tańca. Znowu brzmiał stary dyskotekowy przebój.

Złociste iskierki rozświetlały mrok.

- Planuję przeprowadzić renowację zakładowych budynków - zagaił.

Przyjdzie czas na wyznanie własnych potknięć, wołał zacząć od

radosnych informacji. - W tym magazynie chcę zorganizować świetlicę.

Ochotnicy będą pomagać w nauce dzieciom i dorosłym - ciągnął z

entuzjazmem, który jego samego zaskoczył. - Chyba się domyślasz,

skąd czerpałem inspirację?

Eleanor uśmiechnęła się promiennie.

O pozostałych planach opowie jej później, w spokoju. Będzie patrzeć w

jej błyszczące oczy, cieszyć się jej podziwem. Postara się, by zdarzało

się to jak najczęściej.

- Może działałam zbyt pochopnie - zaczął - ale chciałem cię spytać, czy...

Czy chcesz być moją dziewczyną?

Zatrzymała się w miejscu.

- Twoją dziewczyną? Chcesz ze mną chodzić?

- Tak. - Zmarszczył czoło. - Ale to znaczy, że koniec z innymi facetami. Podobno masz słabość do właścicieli małych piesków. Musisz z tym skończyć.

Jej buzia rozkwitła w uśmiechu.

- Chyba jakoś dam radę. Ale co z logistyką?

- To znaczy? - Uniósł brwi.

- Ty w Los Angeles, ja w Oakdale, może być trudno.

- Na razie tutaj jest tyle do zrobienia, że nigdzie się nie wybieram. Poza tym mam wiele miłych wspomnień związanych z Oakdale. - Przygarnął ją czule. - I będę mieć tu dziewczynę, o ile ona mnie zechce.

- Zechce! - odparła bez wahania. - Zresztą jeszcze nie skończyłeś czegoś, co mi obiecałeś.

Cole rozpromienił się.

- Tak. Miałem nauczyć cię miłości.

Pochylił się i odszukał jej usta. Długi, rozkoszny pocałunek, który trafił prosto do serca. I oszalał.

- Cole - szepnęła. - Mów do mnie „Psorko”.

W jego oczach malowało się tyle uczucia, że nie potrzebowała słów.

- Kocham cię, Psorko.

Z wrażenia zabrakło jej tchu.

- Chodźmy stąd - usłyszała szept Cole'a.

- Jak to? - zdumiała się. - Mamy wyjść z balu maturalnego?

- Mamy do nadrobienia dwanaście lat. To dużo nauki.

- Masz rację - uśmiechnęła się. - Zaczynamy. Przecisnęli się do wyjścia.

Właśnie miał się rozpocząć

maraton taneczny. Popatrzyli po sobie i, wzięwszy się za ręce, wymknęli się na dwór.

Sami pod rozgwieżdżonym niebem. Dwanaście lat, dwie drogi, które
teraz się zejdą. 1 obietnice do spełnienia.
Dziś jest bal maturalny. Życie dopiero się zaczyna. Tak wiele może się
jeszcze zdarzyć.